ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh -

ROK IX. Nr 39 (431)

NIEDZIELA, 25 WRZEŚNIA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

LINIA HORYZONTU

Przeczytałem bardzo uważnie teksty oświadczeń i wywiadów, które Hugon Hanke wygłaszał po przyjeździe do Polski. Oświadczenia te znane były poprzednio tylko z fragmentów, teraz nadeszły w całości i można się im przyjrzeć bliżej. W dalszym ciągu uważam, iż wyjazd Hankego jest w stosunku do istotnych zadań emigracji zdarzeniem drobnym, ale są w tym oświadczeniu pewne punkty, które wymagają jeszcze komentarza.

W pierwszym swym oświadczeniu Hanke powiedział:

„Akcja repatriacyjna, zapoczątkowana przed kilkoma tygodniami przez władze krajowe, ukazała mi wtedy drogę wyjścia dla całej emigracji polskiej i dla mnie osobiście — drogę powrotu do kraju. Łudziłem się, że wobec fiaska kursu na III wojnę i wobec zainteresowania, jakie nowa akcja repatriacyjna budziła w szerokich rzeszach emigrantów, może uda mi się doprowadzić do poparcia akcji repatriacyjnej przez rząd emigracyjny. Toteż w sierpniu zwołałem specjalnie w tej sprawie posiedzenie Rady Ministrów, na którym zainspirowałem dyskusję na temat akcji powrotowej. Pomimo głębokich wahań w łonie emigracji, nie zdołałem pozyskać większości rządu londyńskiego na rzecz repatriacji. Nie poprzestając na tej próbie, zwołałem na 26 sierpnia konferencję przedstawicieli wszystkich ugrupowań politycznych, tworzących tzw. „obóz zamkowy" wraz z członkami rządu. Na tej konferencji ponownie przekonałem się, ile sobkostwa i zawziętości jest wśród większości obecnych wobec sprawy powrotu do Polski."

Pierwszą zaś swoją odpowiedź na konferencji prasowej w Warszawie w dniu 10 września br. zaczął on od następujących zdań:

„Pojechałem ze specjalną misją, mianowicie na osobistą rozmowę z księdzem arcybiskupem Gawliną w Rzymie, którego jednakże spotkałem w Paryżu i z którym rozmowę przeprowadziłem na temat właśnie sprawy repatriacji... Rozmowa ta nie zadowoliła mnie..."

Wiemy już, że takiej rozmowy z Księdzem Arcybiskupem nie było, lecz teksty zacytowane powyżej wydają mi się dość symptomatyczne dla obecnego stanu spraw na emigracji. Jest, oczywiście, rzeczą ważną i pilną, aby jak najprędzej wyjaśnić, czy istotnie Hanke zwoływał dwukrotnie działaczy „obozu zamkowego" i przedstawiał im problem konieczności powrotu posuwając się aż do próby „pozyskania większości", oraz czy otrzymał jaką „misję" (i od kogo?) na wyjazd i rozmowy z wysokimi osobistościami kościelnymi. Wyjaśnienia te powinny być przy tym bardzo dokładne i szczegółowe, ponieważ wszelkie niejasności przyczyniają się do niepotrzebnych domysłów. Szybkość i dokładność informacji powinna być tak wyczerpująca, aby wyjaśniła do dna niezwykłe dosyć punkty sprawy: Gdy urzędujący premier wyjeżdża w zagraniczną podróż, notyfikuje zazwyczaj swój wyjazd i jego cel. Poza tym jest zwyczajem komunistycznej propagandy splatać swoje enuncjacje z prawdy i kłamstwa. Trzeba więc z miejsca ustalić, co w komunikacie Hankego jest prawdą, a co kłamstwem, czy też wszystko jest kłamstwem?

Ale kolacjonowanie tych wyjaśnień nie jest naszą sprawą, to rzecz kół politycznych. Nas w powyższych tekstach interesuje naprawdę ich problem ogólny. Okazuje się, iż reżym przystąpił do ataku na najbardziej kluczowe punkty sytuacji emigracyjnej: na jej myśl. Za pośrednictwem swoich agentów i wtyczek chce zyskać wpływ na jednostki i na całe grupy w kierunku **zmiany dotychczasowej koncepcji politycznej emigracji.** Wyjazd kilkuset czy kilku tysięcy osób nie jest dla sprawy polskiej groźny, ale zachwianie horyzontu myśli emigracyjnej byłoby groźne w stopniu poważnym.

Bo w chwili obecnej są tylko dwie doktryny dotyczące przyszłości Polski: jedna, komunistyczna — Polski niewolnej i druga — Polski niepodległej. Zdawało się dotąd, iż — mimo wszystkich podziałów i kłótni wewnętrznych — wszyscy jak tu jesteśmy wyznajemy doktrynę Polski wolnej. Obecnie zaczyna się okazywać, iż komunizm stara się ten najbardziej zasadniczy miernik naszego postępowania zachwiać. Na ten punkt idzie huraganowy atak zarówno propagandy radiowej, jak i perfidii wtyczek.

Na wyjazd Hankego społeczeństwo emigracyjne zareagowało najprawidłowiej. Popłynęły do ośrodków polskich, do redakcji pism rzeki listów, z których wynika, iż ocena zjawisk jest właściwa. Zwoływano zebrania dyskusyjne, układano protesty, zaostrzano czujność. Powstały również pomysły tworzenia jakichś punktów kontroli i obrony przed infiltracją agentów w poszczególne środowiska. Jeśli społeczeństwo polskie przez swoje organizacje dojdzie do przekonania, że takie punkty są potrzebne, instytucje takie powstaną. Osobiście sądzę wszakże, iż nie w nich leży główna linia obrony; a zakładanie takich punktów jeszcze i dlatego jest niepożądane, iż mogłoby ono wprowadzić w społeczność emigracyjną egzaltację i histerię, w której wszyscy wszystkich zaczną podejrzewać.

Nic bardziej nie byłoby na rękę reżymowi. W tej chwili potrzebny jest emigracji spokój i jasna myśl. Oczywiście, potrzebna jest jak największa czujność i otwarte oczy, ale zagadnienie główne leży gdzie indziej.

Nie tęsknoty do ziemi rodzinnej należy się bać dla emigracji. W tej tęsknocie tkwi ukryta siła do walki. Dwóch rzeczy bać się trzeba: zniechęcenia ludzi do przewodnictwa politycznego emigracji i zamylenia naszej linii horyzontu, czyli zgubienia emigracyjnego celu. Propaganda powrotu jest, naszym zdaniem, zawodną dla komunistów sztuczką. Któż jej może posłuchać? Przecież wiadomo powszechnie, iż **każdy kto by w tej chwili wracał z emigracji do Polski, dokonywałby przede wszystkim aktu akceptacji i potwierdzenia sowieckiej okupacji Polski, jako normalnego bytu naszej ojczyzny.**

Wszystko skupia się wokół czego innego — wokół widoczności celu. Cel się nie zmienił przecież ani na jotę. Przeciwnie, od 1945 r. jeszcze się zaktualizował. Tylko przez ten czas — dla ułomnych oczu ludzkich zszarzał nieco, wyświechtał się przez częste powtarzanie, zakurzył przez bieg wielu lat. Potrzebna jest więc w tej chwili najbardziej czynność odkurzenia zarysów tego celu. Potrzebne jest głośne, szczere i uczciwe ponowne sformułowanie doktryny emigracji polskiej, aby każdy z nas widział wyraźnie wielki cel i wielką godność trwania na emigracji politycznej. Jest ona stanem przynależności dobrowolnej. Jedyną siłą, która ludzi na niej może utrzymać naprawdę, jest siła rozumienia swojej roli dla umęczonego narodu.

*

Ponieważ piszę ten artykuł przy końcu września, chciałbym tu jeszcze dodać parę rocznicowych udokumentowań wyżej wyłożonych twierdzeń. Dowodów na niewolę i terror komunistyczny w Polsce istnieje tysiące. Z tej liczby powtarzam tutaj zaledwie kilka.

W nocy z dnia 25 na 26 września 1953 roku aresztowany został przez komunistów wśród brutalnych okoliczności — Prymas Polski, Kardynał Wyszyński. Do dziś dnia pozostaje w więzieniu. W ciągu tych dwóch więziennych lat ciężko chorował i był poddawany kilkakrotnie torturom psychicznym, dążącym do złamania więźnia i zmuszenia go do służenia komunizmowi.

Tej samej nocy przed dwoma laty został aresztowany i sekretarz Kardynała Wyszyńskiego, Ks. Biskup Baraniak. Komuniści przygotowywali wielki proces pokazowy przeciw głowie Kościoła w Polsce, poddali więc prymasowskiego sekretarza strasznym przesłuchaniom. Doprowadziły go te tortury do utraty zmysłów. Nie wiadomo, co się z nim w tej chwili dzieje. Nie wiadomo nawet, czy żyje. Radio reżymowe, zamiast powiedzieć otwarcie, jak sprawy stoją, namawia nas na powrót do **wolnej** Polski.

W większości diecezji w Kraju prawdziwi rządcy Kościoła albo są wygnani, albo mają związane ręce. Podsunięto im zbłąkanych a uległych reżymowi księży, którzy „wyręczają" biskupów. Kościół w Polsce razem ze swoim ludem z upływem każdego dnia coraz większej doznaje niewoli.

Zaiste, Polska jest co się zowie wolna! Kąpie się w wolności. Jest tak wolna, że milczeniem tylko może błagać swoich synów, którzy zostali w wolnym świecie, aby mówili, aby krzyczeli światu o jej nieszczęściu.

Gdzież tu mówić o możliwości powrotu?

J. K.

JÓZEF EKKERT

NA SZLAKACH POLSKIEJ TUŁACZKI

UGANDA — KRAJ DŻUNGLI AFRYKAŃSKIEJ

Uchodźstwo polskie miotane losami ostatniej wojny po różnych częściach globu, przeżyło m. in. kilka lat w upalnej Wschodniej Brytyjskiej Afryce. Prócz Tanganyiki, gdzie rozmieszczono największą ilość ewakuowanych, znalazło się w Ugandzie około sześć tysięcy uchodźców, głównie z ziem wschodnich Polski. Jedno z osiedli, to Koja, położona nad brzegiem jeziora Wiktoria, drugie Masindi, osadzone na „surowym korzeniu" na stoku góry, gdzie przedtem szumiały groźne mahonie i wysokopienne okazy drzewa żelaznego, znanego ze swej właściwości tonięcia „jak kamień w wodzie".

Zbudowane na znacznym obszarze, poprzecinane świetnie utrzymanymi drogami, obramowanymi zielenią żywopłotów, leżało tuż obok odwiecznej zwartej dżungli. Dziki zwierz, brodzący przed pobudowaniem osiedla po stokach góry, cofnął się teraz w głąb dżungli, jedynie w nocy zapędzając się w dawne, znane sobie strony, jakże teraz zmienione, pokryte wielką liczbą skleconych naprędce chat, krytych specjalnym gatunkiem trawy, przytrzymywanej kilkoma równoległymi rzędami długich drągów. Mieszkańcy chat położonych tuż obok dżungli, oswoili się wkrótce z jej życiem i odgłosami. Kwilenie ptactwa i porykiwanie bawołów przerywało ciszę ciemnej równikowej nocy osiedla. Ciemny firmament niebieski w południowej stronie zaznaczał się wyraźnie zarysowaną konstelacją Krzyża Południa. Przebudzony mieszkaniec osiedla często natrafiał w ogrodzie otaczającym chatkę, na potratowane przez bawoły grzędy.

Osiedle Masindi wśród 3500 rzeszy uchodźczej liczyło około 1.500 dziatwy i młodzieży w wieku szkolnym. Zorganizowane szkolnictwo inicjatywą oddolną w fazie najwyższego rozkwitu liczyło cztery szkoły powszechne, gimnazjum krawieckie (dla dziewcząt), gimnazjum kupieckie koedukacyjne, gimnazjum ogólnokształcące i liceum humanistyczne. Zabudowania tych dwóch ostatnich stały tuż obok dżungli. Młodociane umysły pociągała tajemniczość dżungli. Osiedle oddalone o 160 kilka mil od Kampali, największego ośrodka kulturalnego i gospodarczego Ugandy, nie było w stanie zaspokoić żywych zainteresowań młodzieży szkolnej. Poza biblioteką szkolną i zbiorem książek referatu kulturalno-oświatowego, szybko przez chciwą książki młodzież wyczytanych, pewne urozmaicenie dawało kino z kilkoma przedstawieniami w ciągu tygodnia. Bogata przyroda tropikalna nęciła młode umysły. Młodociani zbieracze wszczęli na dobre poszukiwania owadów i barwnych motyli. Ogródek botaniczny, założony przy gimnazjum ogólnokształcącym, miał prócz ciekawych okazów flory, także rośliny ważne dla przemysłu jak bawełna, herbata, kawa, sizal, banany, mango, papaje i inne.

Szkoła chcąc ująć poznawanie przyrody w pewne ramy, organizowała wycieczki krajoznawcze, piesze, w pobliże osiedla pod nadzorem nauczycieli oraz dalsze, autami ciężarowymi, dostarczanymi za pewną opłatą przez administrację osiedla. Ulubione były wycieczki dalsze, przeważnie jednodniowe, do portu Butiaby nad jeziorem Alberta. Tutaj młodzież w miejscu przewidzianym dla kąpieli zażywała jej do syta, zwiedzała port odgrywający bardzo ważną rolę pośrednika w handlu między Ugandą a Kongiem belgijskim. Można było również za pewną opłatą korzystać z przejażdżki łodzią motorową po jeziorze Alberta, przyglądać się pląsom hipopotamów na płytszych partiach jeziora i obserwować krokodyle, w które jezioro Alberta obfituje. Nauczyciel geografii miał okazję urządzenia pogadanki o powstaniu zachodniej części wielkiej doliny tektonicznej, wskazując na jej stromo sterczącą ścianę wschodnią, wznoszącą się do 1.500 stóp powyżej powierzchni jeziora i na siny pas wzniesień zachodnich tej doliny, już po stronie Konga belgijskiego położony.*) Srebrzące się w słońcu białe wstęgi na brzegu belgijskim — to właśnie wodospady niewielkich strumieni spadające do jeziora.

Równie chętnie zgłaszała się młodzież szkolna na wycieczki do słonych i siarczanych gorących źródeł w miejscowości Kibiro, oddalonej od Butiaby o kilkanaście mil w kierunku południowym. Jakże odmienny widok przedstawiał się tutaj w porównaniu z Butiabą. Spadająca tutaj stromo ściana doliny wznosiła się do wysokości 700 stóp od powierzchni jeziora. Podczas gdy jezioro w Kibiro podchodziło do ściany wschodniej na odległość zaledwie 100 kilkudziesięciu jardów, to w Butiabie do portu jechało się kilka mil po idealnie równym i suchym dnie doliny, wypełnionym wodą jeziora, którego poziom w odległym okresie podyluwialnym był o kilkaset stóp wyższy. W Kibiro młodzież obserwowała prymitywny sposób otrzymywania soli ze słonych źródeł przy pomocy ługowania. Przemysł ten przez ludność tubylczą praktykowany od wieków, jest obok rybołóstwa dość powszechnym zajęciem ludności. Wycieczka do Kibiro docierała również autami towarowymi. Droga prowadziła przez malownicze lasy, pokrywające wzgórza. Liczne strumienie w porach deszczowych, jakie ma Uganda, rozlewają swe wody występując z łożysk, natomiast w dwu również porach suchych poziom wody bardzo niski, cofa się do łożysk strumieni.

W okresie wakacyjnym wyjeżdżała młodzież do Fortu Portal na okres około dwóch tygodni. Fort Portal, leżący u stóp pasma Ruwenzori, (Gór Księżycowych), był pięknie położonym miejscem wypoczynkowym. Hotel z wygodnymi urządzeniami i przyborami do wycieczek wysokogórskich ściągał turystów i badaczy spoza terenu Ugandy. Z Fort Portal robiono wycieczki do osiedli pigmejów Buszmenów, oraz do jezior Jerzego i Edwarda, ciekawych ze względu na nieobecność w nich krokodyli i hipopotamów, i nie nastręczających żadnych obaw dla żądnych kąpieli. Aparat fotograficzny zabrany na tego rodzaju wycieczki był mile widzianym instrumentem, utrwalającym interesujące sceny pejzażowe, jak również i uczestników wycieczek.

Największą atrakcją cieszyły się wycieczki do wodospadu Murchison na Nilu wiktoriańskim. Z licznych wodospadów na Nilu wiktoriańskim, jak np. wodospad Ripon u wylotu Nilu z jeziora Wiktorii, wodospad Owen o kilkanaście mil poniżej, wykorzystywany obecnie do budowy wielkiej zapory celem uzyskania energii, wodospad Murchison jest istnym cudem przyrody, jakiego nie spotka już podróżnik w całym dalszym biegu Nilu. Dojazd normalnie możliwy małym statkiem motorowym, który się wynajmuje w zarządzie kolei Kenia-Uganda. Słabą stroną tego statku jest mała liczba miejsc pasażerskich, wyrażająca się w cyfrze: osiem osób. Prócz pasażerów jest na statku kilku marynarzy obsługi. Z portu Butiaby statek wypływa wieczorem; szybko zapadający w krajach tropikalnych zmrok nie pozwala już uczestnikom wycieczki obserwować wjazdu z jeziora Alberta na wody Nilu wiktoriańskiego, który przy ujściu do jeziora tworzy czteromilową deltę o bardzo bujnej roślinności. Uczestnicy wycieczki chcąc powetować utracone z powodu nocy możliwości obserwacyjne, już wczesnym rankiem wybiegają na pokład, aby w blasku porannego słońca podziwiać zmieniający się jak w kalejdoskopie krajobraz. Brzegi Nilu z początku podróży niskie, pokryte zielenią traw w niewielkiej od rzeki odległości, na dalszym planie czernią się smugą lasów. Leniwo płynący na całym tym 20-milowym odcinku Nil, nie stawia zbytniego oporu płynącemu w górę rzeki statkowi, który ostrożnie omija płytsze miejsca grożące ugrzęźnięciem na mieliźnie.

Statek z naszym zespołem wycieczkowym złożonym z czterech nauczycieli i tyluż uczennic sunie po Nilu, leniwie płynącym; tafla wód upstrzona jest różnobarwnym kwieciem. Obszar ten, bezludny z powodu muchy tse-tse i nagminnie panującej malarii, jest olbrzymim rezerwatem, w którym polowanie jest wzbronione. Stąd też po obu brzegach Nilu moc jest zwierzyny. Wskazuje ją nam kapitan statku, Hindus, świetnie się orientujący w jej rozmieszczeniu. Nadmiar tej zwierzyny na brzegach Nilu, a ptactwa wodnego na Nilu samym, wywołuje wrażenie, że znajdujemy się w jakimś zoologu pozbawionym klatek. Co chwila niespodzianki: oto spłoszony statkiem bawół pędzi cwałem w głąb lasu, a na nim ptak biały, wielkości kaczki-cyranki, wydziobuje ze skóry bawolej dokuczliwe pasożyty. Na innym brzegu Nilu znów spostrzegamy ogromnego nosorożca żerującego spokojnie. Przepłoszone biegiem statku antylopy w olbrzymich susach uciekają od Nilu w gęste zarośla. Grupy krokodyli z rozwartymi paszczami wygrzewające się na brzegu Nilu, na widok statku nie wytrzymują nerwowo i zsuwają się do zbawczej wody. Punkciki głów hipopotamów czernieją licznymi plamami na powierzchni. Tu i ówdzie na brzegu spotykamy grupki krokodyli, a w ich bezpośrednim sąsiedztwie czaple i kormorany, beztrosko wypoczywające po udałych na rzece łowach. Oto już miejsce zakotwiczenia Fajao w odległości półtorej mili od wodospadu. Na rzece pełno kęp białej piany spienionej w gwałtownym spływie ze 130 stóp wysokiego wodospadu.



Jeden z dziwów świata, wodospad MARCHISON w Ugandzie.

Po zakotwiczeniu statku odrabiamy pieszo odcinek półtorej mili, początkowo po równym brzegu Nilu, aby po pewnym czasie piąć się stromą ścianą brzegu na jego sterczącą nad nami krawędź. Krótki ten odcinek naszej wędrówki obfitował w interesujące sceny. Stado hipopotamów, wygrzewających się w słońcu i tarasujących nam przejście, usuwa się z gniewnym pomrukiem ze ścieżyny, zaledwie na kilkanaście kroków przed nami, wskakując do Nilu i stając frontem do przechodzącej w odległości dziesięciu jardów naszej ósemki, kapitana, strzelca z nabitym sztucerem i kilku marynarzy niosących chłodzące napoje. Na krawędzi brzegu Nilu spotyka nas nowa niespodzianka w postaci ośmiu słoni — w tym dwa młode — w odległości 300 jardów. Gwizd kapitana był hasłem do szybkiego odwrotu słoni, stado, z dwoma młodymi w środku kolumny, zniknęło nam wkrótce z oczu w zakręcie doliny.

Olbrzymi huk dochodzący od rzeki świadczył o bliskości wodospadu; widok jego zakrywały przed nami nierówności terenu. Dopiero po kilku minutach przedstawił się nam wspaniały widok. Szerokość rzeki powyżej wodospadu wynosiła co najmniej pół mili; w miejscu, gdzie zaczynał się wodospad, ze zdumieniem spostrzegliśmy szczelinę szerokości 19 stóp, którą cała masa wody Nilu spływała w trzech kaskadach w dół. Trzęsienie ziemi, a raczej wstrząs skał szczeliny, przez którą Nil przepływał, huk niesłychany, zagłuszający każde słowo; opary rozbitej na miliardy cząsteczek wody, unoszące się białą chmurką nad wodospadem — zjawisko tęczy nad samym wodospadem — oto wrażenia, jakie przeżywaliśmy oniemiali z zachwytu. Nigdy nie zapomniana mozaika obrazów! Tu i ówdzie wzrok nasz padał na rybę porwaną prądem wody, niezdolną wyrwać się potędze nurtu i spływającą kolejno po trzech kaskadach w głębię rozprzestrzeniającą się u stóp wodospadu, aby stać się łatwą zdobyczą licznych krokodyli czyhających na zdobycz. U stóp wodospadu rozgrywają się dramatyczne sceny między zwierzyną zwabioną tutaj łatwym połowem. Kroniki turystów notują tragiczne obrazy rozgrywek tuż pod wodospadem: walka hipopotama z krokodylem, lew olbrzymi pożerający krokodyla, potężny słoń przepływający rzekę.

Dawniej był tutaj prom dla przewozu towarów i kupców na prawy brzeg Nilu do Sudanu, i w kierunku przeciwnym, południowym do Centralnej Afryki. Po wysiedleniu z tego obszaru ludności, wszelkie życie ludzkie zamarło; jedyni przedstawiciele rodzaju ludzkiego — to turyści, zjeżdżający na krótki czas, aby podziwiać ten cud przyrody.

Pełni doznanych wrażeń, dzielimy się nimi wzajemnie. Skwar tropikalnego słońca przypomina nam przyniesione przez załogę chłodzące napoje. Po krótkiej chwili doszczętnie wysączone orzeźwiły nas chłodem, usuwając ociężałość spowodowaną żarem równikowego niemal słońca. Tonących w rozpamiętywaniu doznanych wrażeń budzi nas głos przewodnika przypomnieniem bliskiej pory powrotu. Znaną już drogą, w kolumnie gęsiego, ze strzelcem gotowym do strzału na czele kolumny, schodzimy stromym brzegiem Nilu ku opuszczonemu przed kilku godzinami statkowi.

Droga powrotna z biegiem Nilu upływa szybciej; po przepłynięciu delty Nilu u jego spływu z jeziorem Alberta, statek bierze kierunek na port Butiabę. W blasku słońca, gdy woda jeziora mieni się barwami, spoglądamy z podziwem na stromo sterczące ściany zachodniej doliny tektonicznej. Zachodnia wyższa ściana belgijska rysuje się przed nami wyraźniej; jej linia wierzchołkowa ozłocona blaskiem zachodzącego słońca podobna jest do złotej ramy, obejmującej obraz mieniących się na przemian błękitem i szmaragdem wód jeziora.

Józef Ekkert

*) O szkole polskiej w Ugandzie i w ogóle w Afryce nie można mówić, nie wyrażając podzięki Polonii amerykańskiej za pomoc przekazywaną szkole za pośrednictwem porucznika p. Wnukowskiego.

STANISŁAW GROCHOLSKI

PRZEBIEG I WYNIKI KONGRESU „PAX ROMANA"

W dniu 25 sierpnia zakończył się po tygodniowych obradach w Nottingham 23 Kongres Pax Romana. Po zakończeniu obrad różnojęzyczni delegaci wzięli udział w pontyfikalnej Mszy św. odprawionej w katedrze westminsterskiej w Londynie, po czym kardynał Griffin, prymas Anglii i Walii, przyjmował w pałacu arcybiskupim delegatów i czołowe osobistości ze świata katolickiego.

Kongres wzbudził szerokie zainteresowanie i to nie tylko w środowiskach katolickich. Brali w nim udział oficjalni przedstawiciele ONZ, UNESCO, Międzynarodowej Organizacji Pracy, a także przedstawiciele światowych organizacji studenckich i młodzieżowych. Królowa Elżbieta przesłała Kongresowi życzenia pomyślnych obrad.

W czasie pontyfikalnej Mszy św. odprawionej w katedrze westminsterskiej przed rozpoczęciem Kongresu, odczytane zostało orędzie Ojca św. do Kongresu. Papież zwracał w nim uwagę na trudności, jakie współczesna rzeczywistość stawia przed młodymi ludźmi opuszczającymi progi wyższych uczelni. Czy student posiadający wolę służenia zdobytą wiedzą światu — jest należycie przygotowany do swoich zadań w dobie dzisiejszej? Czy trudności decydującego okresu jego startu życiowego pozwolą mu utrzymać w sobie zainteresowanie dla problemów, które nurtują w nim dzisiaj, gdy wchodzi w życie? Studenci nie zawsze znajdą możność pełnej egzystencji i „klimat uporządkowanej wolności" dla swojej służby społecznej i dlatego ważną jest rzeczą, aby mieli oparcie w zorganizowanej akcji katolickiej, aby wchodzili w życie jako działacze katoliccy, przed którymi stoją określone z góry zadania.

Rzeczą Kongresu było te zadania sprecyzować. Główny temat obrad: „Z uniwersytetu w życie — problemy stojące przed młodym absolwentem" rozdzielono między sześć komisji: spraw religijnych, zagadnień etyki i moralności, spraw kultury, zagadnień społecznych, zagadnień zawodowych i życia rodzinnego. Pracom komisji życia codziennego przewodniczyła Polka, p. Habichtowa.

Prace poszczególnych komisji przygotowywano już od miesięcy poprzez ankiety przeprowadzone w 50 krajach, poprzez syntetyczny przegląd sytuacji na różnych kontynentach i zestawienia problemów oczekujących swego rozwiązania. Do tych prac przedwstępnych trzeba zaliczyć m. in. zorganizowane w roku 1954 i 1955 międzynarodowe konferencje, jak np. w sprawie światowych problemów populacyjnych — odbyta w Wenecji, w sprawie użycia dla celów pokojowych energii atomowej — przeprowadzona w Louvain. Pionierskie „seminarium" azjatyckie w Madrasie w Indiach zdąża do wciągnięcia do współpracy społeczności katolickich w Azji i tak jak te konferencje daje obraz dużego zasięgu Ruchu.

Szersze tło dla obrad kongresu dało pięć wielkich przemówień: biskup Beck z Brentwood, przewodniczący Rady Szkolnictwa Episkopatu Brytyjskiego, mówił „O życiu wiary"; profesor Taylor z uniwersytetu w Princeton — „O kulturze", minister de Schryver, członek rządu belgijskiego — „O obowiązkach i prawach obywatela"; Roger Millot, działacz MRP, sekretarz generalny francuskiej organizacji zawodowej Confederation Generale des Cadres — „O pracy zawodowej"; Veronese, b. prezes włoskiej Akcji Katolickiej i wiceprzewodniczący UNESCO — „O roli Pax Romana w światowych organizacjach międzynarodowych".

Przemówienia, każde w swojej dziedzinie, stawiały postulaty walki o „pełnego człowieka", zdolnego do odegrania pozytywnej roli w dzisiejszej rzeczywistości. Należy przeciwdziałać deformacji, jaką powoduje wąska specjalizacja, zmechanizowanie życia, materialistyczny mit wydajności, dyktatura doktryny. Ideałem, do którego dążyć trzeba, to „dynamiczna współzależność wolności i miłości społecznej" w epoce, która — słowami Maritain'a — dać winna „pogodzenie tego co rozdarte", ewolucję ku „personalistycznej demokracji"... Człowiek współczesny szuka zaspokojenia głodu prawd ostatecznych, wskazania podstawowej jedności ideowej wszystkich nauk i dyscyplin. Warunki współczesne narzucają obowiązek myślenia i działania w wymiarze ogólno-ludzkim; nowemu ładowi zagraża z jednej strony imperializm materialistyczny doktryny komunistycznej, a z drugiej egoizm przestarzałych nacjonalizmów; praktyka sprawiedliwości społecznej oraz rozwiązania federalne ponadnarodowe wskażą drogi wyjścia...

Końcowe raporty komisji zawierają obszerne prace. Poszczególne rozdziały omawiają takie m. in. aktualne zagadnienia:

Pojęcie powołania w pracy zawodowej; współpraca uniwersytetu z organizacjami zawodowymi w sprawie orientacji zawodowej młodzieży; konieczność dokształcania humanistycznego dla pełnego rozwoju jednostki i pracownika: zarobek minimalny dla początkujących pracowników intelektualnych; integracja wykształcenia religijnego w dzisiejszą rzeczywistość; misja społeczna kobiety pracującej itp.

Rezolucje końcowe, które referował delegat polski inż. Zygmunt Marzys, członek władz Pax Romana — miały silny akcent społeczny, wytyczając zadania młodego absolwenta w służbie „sprawiedliwego i braterskiego społeczeństwa". Katolicka idea apostolstwa ustawia prace zawodowe jako powołanie do służby bliźnim — zwłaszcza mniej uprzywilejowanym grupom i narodom, na drodze ku pełni rozwoju moralnego, kulturalnego i materialnego.

*

Pismo Opiekuna Uchodźstwa Polskiego, arcybiskupa Józefa Gawliny do Komitetu Organizacyjnego kongresu wzywało o pamięć o ujarzmionych narodach i jasne uświadomienie obowiązku wspierania „zagrożonych społeczeństw w ich walce z mocami ciemności". Specjalny komitet organizacji uchodźczych w Londynie, którego sekretarzem stałym został dr Kohari, Węgier, przygotował wspólne wystąpienie na Kongresie. — „Symposium", na którym — pod honorowym przewodnictwem biskupa Northampton — przemawiali przedstawiciele białoruskiej „Runi", polskiego „Veritasu", węgierskiej organizacji uniwersyteckiej i ukraińskiej „Obnowy". Mówcy przedstawili Kongresowi położenie katolików za żelazną kurtyną oraz walkę, jaką społeczeństwo i młodzież akademicka prowadzą na uniwersytetach podporządkowanych dyktaturze komunistycznej. Sekretarz generalny „Veritasu" omówił również dywersję „katolików reżymowych" w Polsce. Jednym z przemówień, które spotkało się z ogólnym zrozumieniem i wywołało gorący oddźwięk, było końcowe kilkunastominutowe przemówienie młodego człowieka, któremu udało się niedawno uciec z Węgier. Mówca przedstawił w nim w sposób wzruszający obraz życia młodych katolików prześladowanych za wiarę przez reżym węgierski. W dniu poświęconym obradom Komitetu organizacji uchodźczych odbyło się nabożeństwo wieczorne na intencję krajów okupowanych przez Sowiety oraz prześladowanych za wiarę. Dnia 23 sierpnia, również na intencję Kościoła Milczenia, została odprawiona Msza Pontyfikalna w obrządku wschodnim przez ks. arcybiskupa Buczkę, wizytatora Ukraińców w zachodniej Europie.

Kongres wybrał nowe władze Pax Romana. Prezydentem gałęzi seniorackiej został wybrany Holender Wilhelm Pompe, profesor prawa z uniwersytetu w Utrechcie; prezydentem gałęzi studenckiej wybrano ponownie Hindusa dr. Kuriacose z Bombaju. Nowym sekretarzem generalnym studenckiej Pax Romana został Holender Kerstiens. Na miejsce opróżnione przez Polskę w Radzie seniorów Pax Romana, wejdzie delegat litewskiej organizacji Ateitis.

*

W dniu 25 sierpnia delegaci rozjechali się, ale węzły między przywódcami akademickiej młodzieży katolickiej różnych ras i kontynentów — zostały zadzierzgnięte. Będą się one umacniały we wspólnej akcji Pax Romana, którą jest służba Bogu i ludziom oraz utrwalanie pokoju na ziemi, pokoju prawdziwego, opartego na sprawiedliwości, prawie i wolności.

Stanisław Grocholski

DROGI WSPÓŁCZESNYCH NAWRÓCEŃ

NIEZWYKŁE DZIEJE MNICHA TRAPISTY

Tomasz Merton przyszedł na świat w Pirenejach w latach zawieruchy wojennej (ur. 1915).

Ojcem jego był poeta i malarz, który w poszukiwaniu piękna i wrażeń artystycznych przemierzał świat.

Matka, młoda Amerykanka, wychowana była przez rodziców kwakrów — ludzi uczciwych, lecz mających wrogi stosunek do wszelkiej zorganizowanej formy religijnej, a już specjalnie w stosunku do wyznania rzymsko-katolickiego. Dlatego też ani Tomasz ani jego młodszy brat Jan Paweł nie byli w dzieciństwie ochrzczeni.

Tomasz wędruje z rodzicami do Ameryki i tam po kilku latach spokojnego życia traci matkę i zostaje razem z bratem zabrany przez dziadków, którzy wychowują obu chłopców przez dłuższy okres czasu.

Już w dzieciństwie Tomasz odczuwał potrzebę modlitwy. Może natchnęła go pobożność jego babki ze strony ojca, która aż z Nowej Zelandii przyjechała do dalekiej Ameryki, by poznać wnuki i po kryjomu przede wszystkim nauczyć ich Ojcze Nasz.

Po śmierci żony stary Merton udaje się znowu na wędrówkę w poszukiwaniu piękna i tematów dla swojej sztuki.

Gdy Tomasz ukończył dziesięć lat, ojciec wezwał go do Francji. Młody chłopiec poznaje piękno tego kraju, jego wioski i miasta, zamki i katedry. Jest całkowicie pod jego urokiem, wrażliwy nie tylko na piękno krajobrazu czy architektury, ale odczuwa tu żywo obecność Boga promieniującego z tabernakulum dominującej nad okolicą katedry.

Gdyby jego koledzy ze szkoły francuskiej żyli bardziej po katolicku, Tomasz Merton zostałby pewnie wierzącym katolikiem w jedenastym roku życia!

Po trzech latach pobytu we Francji Tomasz z ojcem przenoszą się do Anglii. Tam w szkołach angielskich uczy się łaciny, greki, filozofii. Jest pełen podziwu dla Blake'a, Spinozy, Hopkinsa, T. J. Eliota.

W Anglii traci ojca i w szesnastym roku życia zostaje całkowitym sierotą, pozostawionym samemu sobie. Dziadek wzywa go, by powrócił do Ameryki. W drodze zakochuje się bez pamięci w jednej ze spotkanych towarzyszek podróży.

Lecz ani owa miłość, ani entuzjazm dla teorii Marksa nie zajmują na długo jego serca i umysłu. Znowu wraca do Europy, by w Cambridge zdać egzaminy i puścić się w dalszą drogę do Włoch.

W Rzymie następuje dziwne przeobrażenie wewnętrzne Mertona.

W bazylice św. Kosmy i Damiana urzekła go swym pięknem absyda wykładana wspaniałymi mozaikami. Oczarowany zapragnął poznać tego, którego zwano Chrystusem, a który był natchnieniem całych pokoleń artystów. Po zetknięciu się z mozaikami kupił Nowy Testament. Czytał go z wielkim zainteresowaniem, wydał mu się niejako uzupełnieniem ulubionych jego poematów ewangelicznych D. H. Lawranse'a.

Od tego czasu zwiedzanie kościołów stało się potrzebą wewnętrzną Mertona, było szukaniem spokoju i ciszy, a nie tylko przeżyciem artystycznym. Tam w Rzymie pierwszy raz w życiu modlił się sercem całym, by Bóg uwolnił go z więzów niewoli duchowej.

Po tej „pielgrzymce" do Rzymu Tomasz wraca do Cambridge i zdaje końcowe egzaminy. W roku 1934 opuszcza Europę na zawsze.

W Ameryce nie umie znaleźć istotnej swej drogi. Jest zapalonym komunistą, lecz prędko rzuca politykę i udaje się na uniwersytet w Kolumbii. Tam znajduje profesorów i kolegów, którzy wywierają na niego bardzo dodatni wpływ.

Tomasz w rozlicznych zajęciach uniwersyteckich nie ma czasu myśleć o duszy. Uczy się przeróżnych przedmiotów, pisuje, drukuje, kocha się i bawi, lecz to wszystko nie daje mu pełnej radości. W lutym 1937 roku wpada mu do ręki książka Etienne Gilson z notatką Imprimatur, traktat o filozofii średniowiecznej, który mu daje nową definicję Boga, poznanie filozofii katolickiej korygujące fałszywe sądy. To spojrzenie w głąb prawa i filozofii katolickiej daje Mertonowi nowe podstawy moralne i zmienia charakter jego życia.

Jeden z jego przyjaciół, Hindus, doradził mu przeczytanie „Naśladowania" i „Wyznań świętego Augustyna". Obie te książki utwierdzają w nim wiarę w istnienie świata nadprzyrodzonego.

Rewelacyjnym przeżyciem dla Mertona było uczestniczenie po raz pierwszy w życiu we Mszy św. Nigdy przedtem nie mógł zdobyć się na ten krok, panicznie bojąc się tego, co katolicy nazywali Mszą św., ale wewnętrzne wezwanie było tak silne, że którejś niedzieli przestąpił próg kościoła.

Ze zdumieniem zaobserwował rozmodlony tłum młodych i starych, bogatych i biednych, zmieszany razem, zapatrzony w ołtarz. Wysłuchał również kazania o Boskiej i ludzkiej naturze Chrystusa, o Odkupieniu i łasce płynącej z Odkupienia. Wyszedł z kościoła szczęśliwy z odkrycia całkiem nowego świata.

Któregoś wrześniowego dnia, czytając Hopkinsa zadał sobie pytanie: na co czekasz? co robisz? wiesz co masz zrobić i nie robisz? — i natychmiast wstał i udał się do małego kościółka na Broadway'u prosząc o chrzest.

Po nauczeniu się katechizmu, dnia 16 listopada 1938 roku Tomasz Merton otrzymał Sakrament Chrztu św. i pierwszą Komunię św.

Niestety, zostawiony sam sobie nie został od razu gorliwym katolikiem, a raczej jednym z letnich, pełnym wątpliwości, walczącym z trudem o utrzymanie się w stanie łaski. Może i dlatego tak trudno było mu utrzymać swą wiarę, bo dalekim był od kultu Matki Najświętszej, która była dla niego jedynie natchnieniem poetyckim, a nie oparciem w trudnych chwilach życia.

Cały rok następny poświęcił na zdobywanie sławy, jako pisarz, poeta, krytyk i profesor. Bawił go świat i żył dla świata.

Aż pewnego dnia jesiennego poczuł, że musi zostać księdzem. Zerwał z przyjaciółmi i przyjaciółkami i tegoż jeszcze wieczoru zapukał do furty franciszkańskiej. Atak ślepej kiszki pokrzyżował mu plany. Długi okres rekonwalescencji nauczył go modlić się do Najświętszej Panny. Po chorobie otrzymał orzeczenie lekarskie, że jest niezdolny do wszelkiej służby wojennej, a właśnie wojna szalała na dobre.

Tomasz Merton w dwudziestym szóstym roku życia jedzie po raz pierwszy do klasztoru trapistów i tam w okresie przedwielkanocnym uczestniczy w nabożeństwach. Jednak świat woła go jeszcze raz do siebie. Dopiero jesienią tegoż roku po przeczytaniu poezji św. Tereski postanawia nieodwołalnie i na zawsze wstąpić do klasztoru.

Brat Ludwik, takie jest imię zakonne Tomasza Mertona trapisty z Getsemani stanu Kenkuty, pociąga za sobą innych. W roku 1942 przyjmuje Chrzest i Komunię św. brat Tomasza Jan Paweł, który w rok później ginie śmiercią lotnika.

Życie zakonne sprawia, że pokój, cisza i radość napełniają duszę brata Ludwika.

W tym samym roku 1942 w dzień św. Tomasza składa pierwsze śluby zakonne, a w roku 1949 otrzymuje święcenia kapłańskie.

W międzyczasie jeden z jego świeżo nawróconych i ochrzczonych przyjaciół przywozi mu ostatnio wydany tomik poezji pod tytułem „Thirty Poems". Tomasz raduje się obecnością przyjaciela i tomikiem poezji, a jednak ma wątpliwości, czy godzi się połączyć te dwie rzeczy: twórczość poetycką i powołanie zakonne. Przeor klasztoru rozstrzyga sprawę: „Twoim powołaniem jest pozostać pisarzem!"

Wiedzieć trzeba, że twórczość pisarska Tomasza Mertona ma wielki wpływ na życie Ameryki, że dzieła jego są rozkupywane po obu stronach Oceanu i tłumaczone na rozmaite języki.

Mimo swego powołania pisarskiego Merton jest jednak przede wszystkim księdzem i odczuwa całą odpowiedzialność swego stanowiska. W jego pojęciu ksiądz jest nie tylko naśladowcą Chrystusa, Jego pełnomocnikiem, ale czyś stokroć większym, bowiem jakoby wtórnym Chrystusem:

„Kapłan jest drugim Człowiekiem-Bogiem".*)

H. Ż.

*) Tomasz Merton: „A Trappist tells of the God-Man's Double" — 1940. „The Seven Storey Mountain" 1948.

FELIKS BOHDANOWICZ

1)

Z ZAGADNIEŃ WSPÓŁCZESNEJ PSYCHOLOGII

SNY W ŚWIETLE PSYCHOANALIZY

Dwoiste nasze życie; sen ma
świat udzielny
Śród otchłani nazwanych
bytem i niebytem.

Mickiewicz. Sen. (z Byrona)

Marzenia senne od zarania ludzkości przyciągały uwagę człowieka. W tym świecie złud — jakże nieraz odrębnym od świata jawy — szukano rozwiązania zagadki dotyczącej przyszłości. W tym powszechnym consensus gentium tkwiło jak zawsze ziarno prawdy. Już Arystoteles wysunął myśl, że obrazy senne mogą być zapowiedzią choroby. Inną myśl znajdujemy u św. Tomasza, z której wynika, że współcześni mu lekarze (XIII w.) zajmowali się snami dla określenia charakteru człowieka — byłoby to więc pierwsze zastosowanie psychoanalizy. Niewątpliwie wszystkich uderzała ta kontrastowość marzeń sennych z rzeczywistością. Już u Cycerona znajdujemy takie zdanie: „Nie można sobie wyobrazić niczego tak odmiennego, nieuporządkowanego i potwornego, czego byśmy nie mogli ujrzeć w marzeniach sennych".

Psychologia jednak przez dłuższy okres czasu nie interesowała się zagadnieniem snu, a zwłaszcza treścią marzeń sennych. Racjonalizacja psychologii nie sprzyjała podjęciu tych zagadnień. Bowiem konstrukcje często rozumowe miały pierwszeństwo przed wszelkim doświadczeniem. Gdy następnie nastał odwrotny prąd empiryzmu, zaczęto stosować w psychologii metody nauk przyrodniczych, a to w związku z ogólnym mniemaniem, że akty psychiczn są uwarunkowane zjawiskami fizjologicznymi, wobec czego tym pierwszym odmawiano samoistności. Był to okres „psychologii bez duszy" z równoczesnym przesunięciem przedmiotu badań z treści świadomości na jej funkcje, wartość samej świadomości, jako przedmiotu badań, uległa też zakwestionowaniu, jako rzeczy nieistotnej, bo będącej wynikiem procesów fizjologicznych i odzwierciedleniem świata fizycznego. Introspekcja — zasadnicza metoda badań psychologicznych — zostaje też zakwestionowana rzekomo wskutek niemożności obiektywnego sprawdzania subiektywnych przeżyć.

Tego rodzaju pogląd na zjawiska psychiczne spowodował, że zagadnieniem marzeń sennych zajmowały się jedynie senniki egipskie; psycholog traktował sny jako coś absurdalnego i niegodnego badań naukowych. Dopiero nowy kierunek, znany pod mianem psychologii głębi, a częściej pod nazwą psychoanalizy, podkreślił ogromną wagę marzeń sennych dla diagnozy zaburzeń psychicznych, a skuteczne wyniki terapii nieuleczalnych dotąd schorzeń wzbudziły ogólne zainteresowanie. Jak stwierdził Freud, uważany za ojca psychoanalizy, uderzający jest fakt, że marzenia senne nawet całkowicie zdrowego psychicznie osobnika zdradzają wielkie podobieństwo do chorób umysłowych; zauważył to zresztą jeszcze przed nim Wundt.

Pierwszy problem, który nasuwał się poprzednikom Freuda, to stosunek sennego marzenia do przeżyć w stanie czuwania. Wszyscy psychologowie zgadzali się, że marzenie bierze swą treść z życia na jawie. Rozbieżności powstały jedynie co do tego, czy sen wykorzystuje tę treść zgodnie z ogólną tendencją osobowości śniącego, czy też myśl marzeń sennych tworzy odrębny świat, mniej lub więcej uzależniony od postawy świadomej osobnika.

Następne zagadnienie — to wpływ podniet zmysłowych na senne marzenia. Zwolennicy automatyzmu przyczynowego doznali rozczarowania: jedna i ta sama podnieta zewnętrzna (np. dzwonek budzika) wywoływała u jednej i tej samej osoby różne sny. Gorzej jeszcze, gdyż stwierdzono, że senne marzenia mogą wziąć początek nie tylko z podniet zewnętrznych, lecz i z wyobrażeń, a więc subiektywnych podniet wewnętrznych, których materialny przedmiot aktualnie nie istnieje. Tutaj przyczynowość materialna w ogóle zawodzi. Dalej, stwierdzono, że do podniet sen zawsze dodaje coś nowego, czego nie ma w podnietach. Zachodzi więc konieczność szukania tego „czegoś" w dziedzinie pozamaterialnej, psychicznej. Inna charakterystyczna cecha snu — to występowanie obrazów (głównie wzrokowych), które zastępują nam pojęcia. Myśl senna ulega dramatyzacji. I co ciekawe, że śniący wierzy w autentyczność owego filmu, jaki mu się przesuwa „przed oczami" i bierze w nim żywy udział. Inną znowuż cechą jest brak logicznego powiązania między obrazami, a bardzo często — zupełna pozornie absurdalność snu. Stwierdzona również została niesłychana nieraz aktywność psychiczna w czasie snu. Wprawdzie następuje przyćmienie intelektu, ale za to wzrasta ogromnie czynność wyobraźni, która jak gdyby zrywa się z uwięzi rozumu. Aktywność ta wyraża się między innymi w tworzeniu symbolów, które zastępują podniety.

I wreszcie istotne pytanie: do czego służą owe senne marzenia? Jaką spełniają funkcję? Jedni twierdzą, że sen powtarza w formie symbolicznej naszą aktywność psychiczną z okresu czuwania. Inni badacze widzą w snach proces rozładowania naszego umysłu od różnych ubocznych — mało ważnych lub niezrealizowanych, czy też niezakończonych dążeń i myśli. Według ich twierdzeń, umysłowi groziłoby zapchanie rzeczami niepotrzebnymi, drugorzędnymi. Sen oczyszcza niejako tę rupieciarnię i, dynamizując te wszystkie drobne, niezakończone wrażenia, rozładowuje napięcia — niby spuszczenie naciągniętych strun.

Tego rodzaju myśli i zagadnienia nasuwały się poprzednikom Freuda. Zasługa Freuda polegała na tym, że fragmentaryczną dotychczasową wiedzę ujął w pewną całość, a głównie, że wypracował metodę badań zjawisk psychicznych w postaci tak zwanej psychoanalizy (należy pamiętać, że terminu tego używa Freud w podwójnym znaczeniu: jako metody i jako doktryny).

Jako punkt wyjściowy swych badań Freud otwarcie postawił hipotezę, że senne marzenie nie jest zjawiskiem wyłącznie cielesnego pochodzenia, lecz i psychicznego. Innymi słowy, sen nie jest jedynie skutkiem podniet zmysłowych, działających w trakcie sennych marzeń. Do ich spowodowania nie wystarczają nawet wspomnienia, wywoływane przez podniety drogą skojarzeń. Więc gdzie szukać źródła powstawania marzeń sennych? Freud znajduje je w nieświadomości — i to jest druga jego hipoteza, bez której sen staje się niewyjaśnioną zagadką. Jest to zresztą hipoteza już powszechnie przyjęta przez psychologów. „Psychika nie utożsamia się z koniecznością ze świadomością; to, co w i e m y, jest tylko częścią tego, czym j e s t e ś m y" (Dalbiez. La methode psychonalitique et la doctrine freudienne.) Freud nie traktował sennych marzeń jako absurdalnej gry natury i postawił wyraźnie tezę, że senne marzenie ma swój sens i że posiada własne formy organizacyjne, własną tematykę.

Freud rozróżnia w marzeniu sennym dwojaką jego zawartość: jawną i ukrytą. Jawną jest zewnętrzna treść snu, tak jak ona przebiega. Utajoną treścią jest sens marzenia. Odpowiednikiem snu są bajki ze swą treścią jawną i ukrytym sensem moralnym — treścią jawną, absurdalną w formie (np. gadające zwierzęta), pod którą ukrywa się głęboki sens moralny. Senne marzenie przedstawia nam myśl w formie zaszyfrowanej przy użyciu obrazów. Sen można przyrównać do rebusa. O ile go chcemy traktować jako rysunek tylko, wyda się nam bezsensowny. Tak traktowali sen poprzednicy Freuda. Lecz jeśli zamiast obrazów podstawimy pojęcia, rebus ujawnia swój zamaskowany obrazami sens. Jednak przy rozszyfrowaniu snu mamy wielką trudność w uchwyceniu znaczeń obrazów-symbolów. Freud stara się uchwycić ten sens poddając analizie czynniki świadome osobnika śniącego w oparciu o ścisłą deterministyczną formę przyczynowości między jawą i snem.

Ujęcie sensu marzeń odbywa się drogą analizy — od skutku do przyczyny. Na przebieg procesu sennego marzenia składa się pewien zespół czynników, przy których pomocy ukryta zawartość przeobraża się w jawną jej treść. Analiza snu odbywa swą drogę w odwrotnym porządku: od treści jawnej snu do ukrytego jej sensu.

Analiza snów doprowadziła Freuda do postawienia tezy, że każde senne marzenie jest realizacją jakiegoś pożądania, niespełnionego w czasie czuwania. Niespełnionego dlatego, że czynniki natury moralnej czy estetycznej, czy też wymogi życia zbiorowego nie pozwoliły na ich realizację, zmuszając tym samym do zepchnięcia ich za próg świadomości.

Dwa są istotne źródła pożądań: egoizm i erotyzm (instynkt samozachowawczy i instynkt zachowania gatunku). Adler swą psychologię oparł na pierwszym instynkcie, nie przywiązując przy tym większej wagi do marzeń sennych, Freud natomiast podkreślił szczególną wagę czynnika seksualnego. Otóż według niego senne marzenie ma być ukrytą formą realizacji zepchniętego do nieświadomości pożądania. Ale ta realizacja nie może nastąpić w formie jawnej, gdyż stoi ku temu na przeszkodzie cenzura, jako instancja psychiczna wytworzona przez wychowanie i wpływy otoczenia.

W początkowym okresie życia cenzura jest czynnikiem świadomym, lecz następnie automatyzuje się i działa w sposób nieświadomy. Jawna część snu według Freuda jest fasadą, za którą ukrywa się istotne znaczenie snu, a to wskutek działania wspomnianej cenzury. Toteż dla wykrycia tego sensu potrzebne jest zastosowanie tak zwanej metody wolnych skojarzeń, polegającej na tym, że pacjent w swobodnej rozmowie z badającym go psychologiem, wyjawia swe myśli, które zjawiają się spontanicznie z okazji omawiania szczegółów snu, a które obracają się dokoła centralnego zagadnienia istotnej treści marzenia.

Na przebieg opracowania sennego marzenia według Freuda wpływają trzy czynniki: ochrona snu, realizacja pożądania i działanie cenzury. Dla zabezpieczenia trwania snu senne marzenie unika gwałtownych, szokujących wrażeń (z wyjątkiem pewnych nienormalnych stanów jak koszmary itp). Realizacja pożądania odbywa się w sposób ukryty przed czujnością cenzury. Oto przykład „wypracowania" pewnego sennego marzenia, zaczerpnięty ze wspomnianego już dzieła R. Dalbiez'a. Pewnej pani śni się, że udusiła małego białego pieska. Zaintrygowana tym snem zwróciła się do psychologa o wyjaśnienie. Analiza samego tylko marzenia nic nie może wytłumaczyć, gdyż każdy sen jest skutkiem jakiegoś przeżycia w stanie świadomym. Badanie poprzedzających sen wypadków wykazało co następuje. Pani ta, lubiąca dobrą kuchnię, zajmuje się sama ukręcaniem łebków kurczętom czy gołębiom. Nie sprawia to jej przyjemności, wykonywa tę czynność z pośpiechem, uprzytamniając przy tym sobie, że w ten sam sposób zdusiła pieska w sennym marzeniu. Następnie w trakcie rozmowy drogą wolnych skojarzeń przechodzi owa pani na temat wykonywania wyroków śmierci przez powieszenie. Ta dygresja wzbudza podejrzenie u psychologa, który zapytuje rozmówczynię, czy nie żywi nienawiści w stosunku do jakiejś osoby. Pani owa przyznaje się, że nienawidzi swej przyrodniej siostry, ponieważ stara się ona zdobyć względy męża. Na kilka dni przed sennym marzeniem doszło nawet do burzliwej sceny, w której owa pani wyrzuciła zalotnicę za drzwi ze słowami: „precz stąd, nie chcę mieć u siebie psa, który kąsa cichaczem". Dodatkowy szczegół: owa rywalka miała cienką talię i niezwykle białą cerę.

Mamy w tym śnie realizację pożądania usunięcia rywalki, być może połączonego z podświadomą chęcią morderstwa. Istniejący stan napięcia psychicznego stara się rozładować właśnie omawiane senne marzenie, przedstawiając pożądanie jako spełnione. Ale jak? Do bezpośredniego morderstwa rywalki w sennym marzeniu nie dopuści działająca cenzura. Więc realizację tego pożądania trzeba ukryć przed czujnością cenzury i przyoblec ją w formę, jaka miała miejsce we śnie. Mamy więc owo podwójne oblicze snu: jawną jego treść (uduszenie pieska) i ukrytą (realizacja pożądania usunięcia rywalki). Aby jednak złagodzić ostrość wrażenia, które może spowodować przebudzenie, senne marzenie wybiera formę najmniej szokującą, bo przypominającą zwykłe kulinarne zajęcia owej pani. Są jednak i akcenty lekko wzmacniające — niby w gruncie niewinne: biały mały piesek, jako odpowiednik drobnej o białej cerze rywalki. Widzimy więc jak subtelnie jest opracowany „plan" sennego marzenia.

(Ciąg dalszy nastąpi)

NOWE KSIĄŻKI

KSIĄŻKA O KRAJU POWSZEDNIM

Nareszcie książka o Kraju! Nie studium seminaryjne ni publicystyka, nie pamflet ani roztrząsanie intelektualne, ale prosty, wszechstronny, żywy obraz życia powszedniego, przedstawiony piórem świadka, który spędził osiem lat w Polsce powojennej i dzięki swemu stanowisku miał wgląd za kulisy, nie zatracając przy tym czujności i wrażliwości szarego obywatela. Mowa jest o Marku Stanisławie Korowiczu, profesorze prawa międzynarodowego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego krok jako przewodniczącego reżymowej Komisji Prawniczej na sesję ONZ we wrześniu 1953 wywołał ogromne wrażenie w całym świecie. Obecnie prof. Korowicz przedstawia dzieje i motywy swojej drogi do wolności, której dobrowolnie się pozbawił wracając w roku 1946 do Kraju, w książce pt. „W Polsce pod sowieckim jarzmem".*)

Rzecz ta właśnie co weszła na półki księgarskie, jako najnowszy tom „Biblioteki Polskiej" i stanowi najcenniejszą pozycję w literaturze emigracyjnej o życiu Kraju, przez swój obiektywizm, wszechstronność, autentyczność i świeżość. Na 360 stronach ciasno zbitego tekstu pomieścił autor mnóstwo materiału, tak różnorodnego i tak umiejętnie wybranego i opracowanego, że książkę czyta się jak porywającą powieść. Prof. Korowiczowi udało się, jak dotąd nikomu, przybliżyć Kraj czytelnikom na emigracji, a to głównie dzięki skromności autorskiego zamiaru. Nie jest to bowiem ani ambitne studium, ani próba syntezy czy krytyki, na co zwykle porywają się pióra nowych emigrantów. Pisarze i artyści opuszczając Kraj mają skłonność do ujmowania przejawów życia w Polsce w sposób na poły fikcyjny, usiłując całą wielość zjawisk sprowadzić do wspólnego założenia, do jednego mechanizmu, albo nawet, jak Czesław Miłosz, do funkcjonowania recept, ponoć już z doskonałymi rezultatami wypróbowanych. Co jest najbardziej ujmujące w dziele Korowicza, to niedemonizowanie rządców Polski „Ludowej" i sprężyn systemu i wykazywanie na każdym kroku, że nawet najgorliwsi doktrynerzy plączą się i gubią w tym pełnym sprzeczności i załamań systemie. Książka Korowicza tłumaczy też bardzo jasno, dlaczego naród w sowieckim jarzmie nie może żyć negacją i oczekiwaniem na zmiany.

Aby odwrócić od siebie zarzut propagandy, publicystyka emigracyjna o Kraju stroi się w piórka obiektywizmu naukowego, co powoduje zalew nudnych i bezdusznych elaboratów, sklеconych z wycinków prasowych oraz oschłych i oderwanych faktów. Są to wszystko rzeczy tak dalece pozbawione rumieńców życia, że sprawiają wrażenie jakichś fizycznych czy chemicznych formuł okropności i grozy, z jednym chwalebnym wyjątkiem autora przeglądu i kronik „ŻYCIA KRAJU". Książkę „W Polsce pod sowieckim jarzmem" napisał profesor prawa, więc metodą naukową, która polega na gromadzeniu i objaśnianiu faktów, nie zaś na ich przemilczaniu i przekręcaniu. Dlatego książka Korowicza jest prawdziwa i wiarogodna. Równocześnie jednak wyszła ona spod pióra pamiętnikarza, nie wahającego się — i słusznie — szeroko rozpisywać o osobistych kłopotach i przykrościach, a nawet prowadzącego czytelnika z dala od wszelkiej polityki po słonecznych wierchach tatrzańskich i zielonych stokach beskidzkich. Te opisy Kraju, Tatr, Beskidów, Warszawy, Krakowa, Lublina, a nade wszystko Ziem Odzyskanych, mimo ich literackiej prostoty, są jedną z głównych zalet książki. Dzięki nim, Polska nie jawi się czytelnikom jako wielkie więzienie czy stachanowska katorga, lecz jako kraj żyjący pod tęczą najpiękniejszego na świecie słońca, w zapachu smrekowych lasów i nadmorskich mikołajków. Te opisy przyrody i podróży krajoznawczych dają poza tym obraz typowej dla Kraju ucieczki od złej rzeczywistości społecznej do niezmiennego dziedzictwa natury. Wiele miejsca poświęca prof. Korowicz przegranej walce o



utrzymanie przy życiu Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Z pozoru zakrawa to na dziwactwo. A przecież w tej heroicznej obronie spinaczek wysokogórskich i obyczajów tatrzańskich, przegranej w zderzeniu z tępą i bezmyślną siłą niszczenia tradycji narodowych, widzi się dokładnie, że walka nie idzie o dobro ludzkie, lecz o doktrynę, miażdżącą wszystko, co do niej nie przystaje.

Książka prof. Korowicza opisuje życie w Kraju w pionowym przekroju od góry do dołu. Ale problemy wielkiej polityki, a także ekonomii, administracji, kultury i oświaty są na ogół dobrze znane. Dlatego Korowicz pisze o nich mniej i z mniejszym sercem. Nacisk natomiast kładzie na opisach życia codziennego, mieszkań, targów, sklepów, przychodni lekarskich, fabryk, kopalń. O wszystkich tych sprawach pisze Korowicz z sercem i szeroko otwartymi oczyma na zło ustroju. Dlatego to jest książka o szarym człowieku.

Można by wytknąć autorowi pewne braki, może i nieścisłości. Rozdziały o Kościele i o dorobku kulturalnym są napisane dość pobieżnie i nie wykraczają poza powszechną znajomość faktów. Dwa lata czasu, odkąd prof. Korowicz znalazł się poza Krajem, także nie są bez znaczenia dla świeżości i wierności jego obrazu, nagradza to jednak bezcenna masa nowych wiadomości, bliskich naświetleń i głębokich obserwacji.

Zamiast proponowanych przez reżym wycieczek do Kraju, praktyczniej i z pewnością pożyteczniej będzie przeczytać dokładnie książkę prof. Marka Stanisława Korowicza.

J. B.

*) **Marek Stanisław Korowicz — W POLSCE POD SOWIECKIM JARZMEM. Tom XIX serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas". Londyn 1955.**

Korektę książki przeprowadził autor powyższej recenzji, mimo to znalazło się w niej wiele błędów literowych i rzeczowych. Przyganiał krytyk innym, a sam smolił.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

JESIEŃ

W kropli deszczu cichutkiej i sennej
zamieszkała moja mała myśl —
a tu pustka, a tu wkoło bezimiennie
i jesienna cisza.

W nucie wiatru cierpkiej i żałosnej
zamieściłam cały smutek dnia —
i stoimy przy oknie dwie siostry:
jesień i ja.

Tylko z dali gdzie drzew się kołyszą
złote głowy ozdobione w wiatr,
czas przynosi, otulony ciszą —
miłość twoją — mój jesienny kwiat.

Józefa Radzymińska

TEATR

SZTUKA O MICKIEWICZU

Najbliższą premierą „Teatru Polskiego" pod kier. S. Belskiego i L. Kielanowskiego w „Ognisku Polskim" będzie sztuka, oparta na fragmencie z dziejów życia i myśli Mickiewicza. Będzie to sztuka Romana Brandstaettera pt. „Noce narodowe". Wystawiona w roku ubiegłym w Kraju, na scenie Teatru im. Słowackiego w Krakowie, stała się wielkim sukcesem teatralnym i literackim. Trudny i niezupełnie przez historyków literatury wyjaśniony okres życia Mickiewicza w Paryżu — pomiędzy rokiem 1840 a 47 — okres, w którym poeta złamał pióro, ulegał silnemu wpływowi Towiańskiego, przeżywał ciężkie chwile w pożyciu rodzinnym, dramat rodzinny Mickiewicza, poety, który przestał tworzyć, profesora „College de France", któremu odebrano katedrę, człowieka czynu, nie mogącego zdobyć się na wysiłek zrzucenia z siebie jarzma bezwoli, narzuconego mu przez Towiańskiego i wreszcie wyzwolenie się z tego zaczarowanego kręgu — oto główne wątki „Nocy narodowych".

„Noce narodowe" nie są pierwszą sztuką Brandstaettera, wystawioną przez teatry w Kraju. Poprzednio wystawiono dramat o Rembrandtcie „Syn marnotrawny" oraz „Aktora i króla" (o Bogusławskim). Obsadę sztuki stanowią: Irena Kora-Brzezińska, Klara Belska, Krystyna Dygat, Stanisław Belski, Zygmunt Rewkowski. Reżyseruje Leopold Kielanowski, oprawa sceniczna Haliny Żeleńskiej.

FILM

NAGRODY NA FESTIWALU W WENECJI

Jury tegorocznego festiwalu filmowego przyznało pierwszą nagrodę, nagrodę „Skrzydlatego Lwa Wenecji", filmowi duńskiemu „Ordet" („Słowo"), który reżyserował Carl Dryer.

Drugą nagrodę zdobył film sowiecki „Konik polny", osnuty na tle jednej z nowel Czechowa; reżyserował go S. Samsonow. Trzecie miejsce zajęły Stany Zjednoczone filmem „The Big Knife"; reżyserem jego był Robert Aldrich, główne role grają Jack Palance i Ida Lupino. Film zapowiada się początkowo jako satyra na wyzyskiwanie „gwiazd" ekranu w Hollywood, później jednak przechodzi w moralizujący melodramat.

Medal „najlepszego aktora" otrzymał Kurt Jurgens, mąż Ewy Bartok.

Dyrektor Brytyjskiej Akademii Filmowej Robert Manvell w swym artykule o weneckim festiwalu filmowym, który ukazał się w „Sunday Times" z dnia 11 września, jako jeden z najlepszych obrazów pokazanych na festiwalu, określa film polski „Ludzie błękitnego krzyża". „Jest to — pisze Manwell — robiąca duże wrażenie polska rekonstrukcja prawdziwego wydarzenia, gdy świetnie wyszkoleni górale polscy przenosili rannych przez Tatry".

LISTY DO REDAKCJI

Na szali udogodnień życia w Polsce

Szanowny Panie Redaktorze!

Odpowiadając na list p. Konstantego Bączkowskiego w nr. 36 ŻYCIA z dnia 4 września 1955 r., pragnę stwierdzić co następuje:

1) Zgadzam się najzupełniej z poglądem p. Bączkowskiego, że istotą rzeczy, w sprawach szczegółów bytu materialnego jest nie to, że jeden kraj jest lepszy od drugiego, lecz że każdy kraj jest inny, ma swoje właściwości i zalety, najlepiej pasujące do jego warunków. Mój artykuł był dyktowany nie czym innym, tylko tą właśnie myślą. Zwrócony był przeciwko bezmyślnym twierdzeniom, głoszonym przez niektórych Polaków na emigracji, w istocie bardzo niewiele wiedzących o Polsce, że wszystko w Polsce było złe, a wszystko w Anglii jest lepsze. Tytułem przykładu wymieniłem szereg dziedzin, nawet w sferze postępu i rozwoju materialnego, które bezsprzecznie wyglądały w Polsce lepiej.

2) Obstaję przy poglądzie, że poczta była w Polsce sprawniejsza, nowocześniejsza, skrupulatniejsza niż w Anglii i lepiej zaspokajała potrzeby ludności. Money Order jest urządzeniem starożytnym. Bynajmniej nie cała ludność Anglii posiada konta bankowe, ci co ich nie posiadają muszą się fatygować na pocztę, zamiast mieć wszystko dostarczone do domu. W Polsce także istniała klasa ludzi mających konta w bankach prywatnych, choć była mniej liczna. Argument, że poczta dobrze służy potrzebom tej klasy jest zupełnie chybiony, bo poczta obsługuje całą ludność kraju. Natomiast brak jest w Anglii jednego zjawiska, które w Polsce odgrywało rolę olbrzymią: konta czekowego Pocztowej Kasy Oszczędności. W Polsce mnóstwo ludzi miało takie konta. Brak tego urządzenia odczuwają w Anglii w sposób szczególnie dotkliwy ci, którzy otrzymują wpłaty od klienteli — np. administracje czasopism, sklepy rozsyłkowe itp. Tutejszy system masowych wpłat jest bardzo niewygodny, uciążliwy i w rezultacie kosztowny.

3) Skoro mówimy o urządzeniach obrotu pieniężnego, warto przypomnieć, że nie ma w Anglii urządzenia tak podstawowego — a w niektórych częściach Polski istniejącego już blisko od półtora wieku — jakim jest hipoteka. Bez hipoteki „szary człowiek", mający nieruchomą własność (domek, gospodarstwo chłopskie itp.) jest ogromnie skrępowany w uzyskaniu kredytu.

4) System produkowania tandety — np. zegarków, a tak samo samochodów, czy butów — które się wyrzuca na śmietnik, nie próbując ich reperować, jest na dalszą metę marnotrawstwem i gospodarczym absurdem.

5) P. Bączkowski przegrał swój zakład: Katowice i Łódź znam dobrze, a urodziłem się w Sosnowcu. Zaryzykuję twierdzenie, że w Katowicach i Łodzi powietrze było czystsze, niż w Londynie. A przecież Katowice są okręgiem górniczym, a nawet i w Łodzi skoncentrowanie przemysłu na małej przestrzeni było większe niż w Londynie. Zadymienie Londynu nie jest spowodowane przez przemysł, lecz przez staroświeckie kominki w mieszkaniach. To samo jest przyczyną częstych pożarów. A propos: w Polsce prawie się nie zdarzało (poza wsiami i miasteczkami o drewnianych domach), by ludzie ginęli w pożarach. Tutaj śmierć od pożaru jest zjawiskiem bardzo częstym.

6) Mówiąc o myciu okien, miałem na myśli mycie takich okien, jak w Polsce. W wielkich nowoczesnych blokach okna w Londynie są bardzo często takie same jak w Polsce.

Z poważaniem

Polonus

PROF. FOLKIERSKI O TWÓRCZOŚCI PIETRKIEWICZA

W poprzednim nrze ŻYCIA zamieściliśmy tekst przemówienia prof. Władysława Folkierskiego o zeszłorocznych laureatach nagrody pisarskiej SPK, prof. W. Lednickim i prof. W. Weintraubie. Tekst ów uzupełniamy obecnie uwagami prof. Folkierskiego o trzecim laureacie, dr. Jerzym Pietrkiewiczu.

Jerzy Pietrkiewicz, urodzony w r. 1918, jeszcze więc wcale młody, w niejednym już piecu chleb wypiekał, i to zawsze przedni, zawsze pszenny, wcale nie razowy.

Zaczął, wiadomo, od poezji („Wiersze o dzieciństwie", 1935; „Prowincja", 1936; „Wiersze i poematy", 1938). Tyle w Kraju. A potem, na emigracji: „Znaki na niebie", 1940; „Pokarm cierpki", 1943; „Pogrzeb Europy", 1946; „Piąty poemat", 1950; „Modlitwy intelektu", 1950; „Sielanka stołeczna", 1952; „Dwadzieścia lat poezji", 1955. Poezji tej nie będziemy tu analizowali, bo nie tu na to miejsce. Jest to poezja śmiała w metaforze i odkrywcza, unikająca łatwizn, owszem szukająca wysiłku u czytelnika. Obecnie, w tym roku Pańskim 1955, obiecuje sobie autor, że więcej wierszy pisać nie będzie.

Czemu?

Otóż to — bo znalazł sobie inne środki wyrazu. Już dawniej próbował polskiej powieści („Po chłopsku", 1941) i polskiego teatru („Sami swoi", ponad 70 przedstawień!).

Jednakowoż w latach 1947-8 otwiera nową swoją kartę. Rozpoczyna wykłady w Szkole Studiów Słowiańskich przy Uniwersytecie Londyńskim (jest tam dziś pełnym „Lecturer in Polish Language and Literature", i, jako taki, jest wysoce przez Anglików ceniony, skoro stał się świeżo członkiem „Board of Slavonic Studies", co jest dla cudzoziemca wielką w Anglii rzadkością). Dla nas ważniejszy jest pokaźny ciąg studiów czy essayów Pietrkiewicza, w których stara się z dużym powodzeniem trafić do uwagi czytelnika angielskiego staro- i nowopolskim piśmiennictwem. Oto tytuły:

„Introducing Norwid", 1948,

„Collins and Kniaźnin", 1948,

„A Polish psychoanalytical novel of 1902" — rzecz o „Pałubie" Karola Irzykowskiego, 1951,

„The mediaeval Dream. Formula in Kochanowski's Treny, 1953,

„A Polish 17-century Diarist (Pasek)", 1954.

I wreszcie w druku będące:

„The Idyll, a Constemt Companion of Polish Poets (od „Sobótki" po „Pana Tadeusza")".

Studia te odznaczają się prawdziwą i miłującą pasją odkrywania zatajonych skarbów dawnej literatury polskiej. Pietrkiewicz odkrywa je najprzód sobie, zachwyca się nimi z entuzjazmem i miłością i wtedy dopiero dzieli się swą radością odkrywczą z innym, w tym wypadku z cudzoziemcami. Ale ten wyraz obcy musi odpowiadać jego wewnętrznemu doznaniu: stąd świeżość tych szkiców, prawdziwie zaraźliwa i za serce, nawet angielskie, chwytająca.

Wreszcie, i to w naszych oczach, nastaje faza trzecia.

Pietrkiewicz, wykształciwszy pióro na essayu angielskim, bierze się do angielskiej powieści. Jego pierwsza powieść, ta, która nas interesuje, „The Knotted Cord", wzięła sobie szturmem, rzec można, angielskiego czytelnika. I to drogą śmiałą, która nie zawsze przekonuje czytelnika polskiego! Książka ta, o obyczaju polskiej wsi w ziemi dobrzyńskiej, skąd autor jest rodem, nie jest ani trochę folklorem. Nie jest też propagandą — owszem zakrawa w oczach poniektórych Polaków na kontr-propagandę. W rzeczywistości autora interesuje nie propaganda i nie folklor, a jeno pewien problemat psychologiczny, rzucony na tło dobrzyńskiej wsi, którą ponad wszystko ukochał.

Mały chłopak, Broneczek z wsi Fabianki w Ziemi Dobrzyńskiej przebywa w dzieciństwie ciężką chorobę, z której matka wydobywa go, jak sądzi, ślubowaniem, że syn będzie po wyzdrowieniu chodził przez lat szereg w mniszym habicie. Zwyczaj pobożny, znany do niedawna w Polsce i po dziś dzień w południowej Europie. Ale dziś razi już wszelkiego autoramentu protestantów-ochotników, którzy śmiertelnie boją się posądzenia o przesąd czy zabobon. Stąd pretensje u niektórych rodaków do Pietrkiewicza, że złą oddał sprawie polskiej przysługę, bo kraj nasz przedstawił pod znakiem wstecznictwa...

W rzeczywistości stało się przeciwnie. Obraz religijności wsi polskiej, gdzie jest miejsce i na protesty malkontentów i nawet kacerzy-mariawitów, zyskał pełne uznanie i zainteresowanie obcego czytelnika angielskiego, lubującego się przecież w sekciarstwie. Obraz tej wsi zachodnio-polskiej zyskał w ten sposób jakby o jeden wymiar więcej.

Mały Bronek, który zrazu wstydzi się swego ubrania, powoli odczuwa jakby dumę, bo ma specjalne miejsce we wsi, bo widzi, że go szanują niby coś świętego. Cała wieś równie się do tego zagadnienia ustosunkowuje i poprzez ten pryzmat otrzymujemy wrażenie całości pewnego organizmu społecznego, odmalowanego tak, jak tego nie zrobili ani Prus w „Placówce" ani Reymont w „Chłopach". Pewien podkład mistyczny polskiej wsi wychodzi tu na jaw, choć to był dotąd rys przyznawany tylko wsi rosyjskiej i wschodniej.

Śliczne, choć bardzo dyskretne, opisy przyrody, duża szczypta humoru w opisie życia gromadnego i ponad wszystko, wzruszenie wynikające ze wspomnień dziecinnych i ukochanie tych stron rodzinnych, dają tej powieści nie tylko koloryt, ale i ciepło uczucia i szczerego przeżycia.

Od tego czasu pracował Pietrkiewicz nad dalszą powieścią angielską, którą właśnie dopiero co w świat puścił — ale ta jest poza naszą sferą uwagi. Dodajmy tylko, że Anglicy poczynają już przebąkiwać o nowym Conradzie. Pewno przedwcześnie.

Pietrkiewicz zdołał więc tą powieścią swoją pierwszy zwrócić uwagę obcych na wieś polską, zyskać dla niej respekt, a dla siebie uznanie, mimo że, a może właśnie dlatego, że nie wyzuł jej z różnych właściwości organicznych ad maiorem gloriam polskiej propagandy, która by nas chciała we wszystkim upodobnić do Zachodu.

Owszem, Pietrkiewicz z Zachodem ją wiążąc, uwydatnił przecież to, co ją odróżnia i wyróżnia. I dlatego zasłużył się dobrze i literaturze polskiej, i obrazowi, który winni cudzoziemcy o Polsce mieć i nabyć, aby ją ocenić jako coś właściwie odrębnego.

Znów — Jerzy Pietrkiewicz w całej pełni zasłużył na nagrodę SPK, tym bardziej, że jako człowiek młody musi ją uznać za zachętę, by dalej po swej drodze kroczyć. Mamy nadzieję, że nie będzie on, jak i dotąd, szukał laurów łatwych, ale że swego czytelnika polskiego będzie dalej niepokoił i do sprzeciwu skłaniał. Za taką to nieraz cenę uzyskuje się artystyczną prawdę.

Władysław Folkierski

PLASTYKA

Prace dekoracyjne Z. Kowalewskiego

Polska sztuka dekoracyjna i reklama artystyczna zyskały już sobie w Anglii zasłużone uznanie. Między malarzami i rysownikami pracującymi w tej dziedzinie wybijają się pomysły artystycznej dekoracji i reklamy polskiego malarza Zygmunta Kowalewskiego. Podane tutaj zdjęcie jednego z jego ciekawych pomysłów reklamowych — uzupełniamy garścią wiadomości o samym artyście.

Zygmunt Kowalewski, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, którą ukończył w r. 1938, reprezentuje nowy kierunek sztuki dekoracyjnej, który rozwinął się w ostatnich latach dziesiątkach. Dekoracje sklepowe, afisze, dekoracje propagandowe, oto dział, w którym się specjalizował.

Pracował początkowo w Warszawie a od wybuchu wojny, która niosła go z kraju do kraju, w Kownie, Jerozolimie, Kairze, Aleksandrii, Londynie.

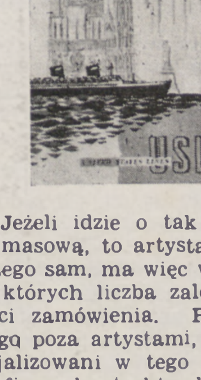
W Palestynie i Egipcie pracował głównie dla Polish Information Centre, a w Londynie zaczął pracować zupełnie samodzielnie, będąc jednym z pierwszych Polaków, który ten dział sztuki w Londynie zapoczątkował.

Pracuje tu więc od r. 1948, czyli 7 lat, zdobył najlepsze firmy londyńskie jak i międzynarodowe. W obecnej chwili współpracuje z drugim artystą, który ukończył już tutejszą szkołę artystyczną: Leonem Piesowockim.

W trzech pokojach pracowni Kowalewskiego widziałem różne projekty dekoracyjne i afisze. Firma bowiem pracuje m. in. dla „British Overseas Company", dla „Forda", dla rządu Południowej Rodezji, dla „Australia House", „Austin Reed", „United States Lines", dla holenderskich linii lotniczych KIM i dla innych.

Drzewo, metal, papier — to główne materiały, z których Kowalewski tworzy swe kompozycje zwracające uwagę na wystawach największych sklepów, w urzędach lodyńskich, a także i w innych miastach.

Prace dekoracyjne są wykonywane w jednej, kilku lub kilkudziesięciu ko-



piach. Jeżeli idzie o tak zwaną produkcję masową, to artysta nie mógłby zrobić tego sam, ma więc współpracowników, których liczba zależna jest od wielkości zamówienia. Pracują więc dla niego poza artystami, rzemieślnicy wyspecjalizowani w tego rodzaju pracach i firmy kontraktorskie.

Wysoka klasa produkcji Kowalewskiego znajduje m. in. oddźwięk w pismach takich jak: „Grafis" szwajcarski, „Publimondial" francuski, oraz w angielskich: „Modern Publicity", „Display" czy „Art and Industry".

Stefan Legeżyński

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 25 września 1955.

NASZE SPRAWY

POWIEŚĆ KATOLICKA

W XIX wieku, a nawet w pierwszej ćwierci XX, nie słyszało się o powieści katolickiej. Po prostu samo pojęcie takiej powieści było nieznane. Natomiast dzisiaj świat huczy od rozgłosu powieści katolickiej.

Graham Greene, Mauriac, Bernanos, nie piszą po prostu powieści. Piszą oni powieści katolickie.

Cóż jest nowego w ich twórczości w porównaniu z twórczością powieściopisarzy wcześniejszych? Rzeczą nową jest przewijająca się w tej twórczości nuta propagandy. Autorzy ci są wierzącymi katolikami i uważają za swój obowiązek używać swej twórczości za środek do propagowania poglądów, które wyznają. Ta ich postawa jest przejawem ogólnego, dającego się dziś w świecie dostrzec zjawiska, jakim jest większa gotowość katolików do walki, do polemiki, do zajmowania postawy nie tylko obronnej, lecz także i ofensywnej. Walka o wiarę katolicką toczy się na wszystkich polach, toczy się także i w powieści.

To nie znaczy jednak, by dawniej było całkiem inaczej. W utworach dawnych pisarzy też bywała propaganda — tyle tylko, że nie było jej tak dużo. Prus w „Lalce" na wielu długich stronach tłumaczy sceptycznemu czytelnikowi epoki pozytywizmu to, czego nam, żyjącym w czasach bomby atomowej, zgoła tłumaczyć nie trzeba, mianowicie, że koniec świata jest rzeczą z punktu widzenia fizycznego możliwą i że zdarzyć się może nawet jutro. Sienkiewicz w „Rodzinie Połanieckich" stwierdzał, że „msza ciągle się odprawia", a w „Quo Vadis" z szerokim rozmachem bronił podstaw chrześcijaństwa i przypominał jego historyczne początki. To prawda jednak, że ta nuta propagandowa w dawnych powieściach nie wysuwała się na czoło w tym stopniu, co w powieści katolickiej dzisiejszej.

Jest jednak i druga jeszcze cecha, która znamionuje dzisiejszą „powieść katolicką". Powieść ta należy do „dzisiejszego" świata, do agnostycznej i materialistycznej „dzisiejszej" cywilizacji, będąc wyrazem tego co myśli i czuje katolik, w ramach tej cywilizacji żyjący. Jest to jak gdyby katolicka odpowiedź na dzisiejszość czy też katolicka jej ocena. Dzisiejsza powieść „katolicka" nie opisuje życia katolickiego i cywilizacji katolickiej; opisuje ona dzisiejszy świat w ruinie, oglądany oczyma katolika, zwycięsko lub mniej zwycięsko broniącego się przed rozpaczą.

Sygryda Undset jest pisarką prawie współczesną Mauriacowi, Bernanosowi, czy Greene'owi. Jej twórczość jest na wskroś przepojona duchem katolickim. Ale gdy mówimy o powieści katolickiej, jakoś nie przychodzi nam na myśl wymienić jej nazwisko. Bo nie należy ona do dzisiejszej „szkoły" katolickiej. Oddycha ona powietrzem katolickim, każde jej drgnienie duszy jest katolickie — toteż nie potrzebuje ona swej katolickości afiszować. Natomiast Graham Greene — to jakby dzisiejszość, dzisiejszy świat moralny ruin, ale z katolickim przymiotnikiem.

Do tego zmierzam, że katolickość dzisiejszej szkoły powieściopisarzy katolickich wydaje mi się nie pozbawiona znaków zapytania i że zdaniem moim w ustosunkowaniu się do tej szkoły konieczna jest duża doza ostrożności.

Nie zamierzam kwestionować szczerości katolickiej wiary omawianych autorów, ani uczciwości ich intencji. Nie zamierzam także przeczyć, że w pewnych wyjątkowych wypadkach wpływ ich może być zbawienny. Słyszałem o agnostykach, ludziach „dzisiejszego" świata, przepojonego rozpaczą, dla których twórczość Grahama Greene'a była krzepiącą strawą i budzącym radość drogowskazem na bezdrożu.

Ale na szczęście, nie cała jeszcze ludzkość zamieniła się w agnostyków i ludzi na bezdrożu. A dla szerokiej masy katolików twórczość ta nie stanowi moim zdaniem strawy zdrowej.

Jest zadaniem prasy katolickiej, firm księgarskich katolickich i w ogóle społeczeństwa katolickiego popieranie literatury powieściowej takiej, która by zaspokajała potrzeby czytelnika katolickiego, tego czytelnika, który nie oderwał się jeszcze od społeczności katolickiej, od tradycyjnych form życia katolickiego i od tego, co można by nazwać katolicką cywilizacją. To znaczy popieranie nowej twórczości w tym duchu — ale także odświeżanie i przypominanie takiej twórczości dawnej.

Powieść wywiera na czytelnika wpływ trojakim sposobem.

Po pierwsze, szerzy ona poglądy autora. Nie da się zaprzeczyć, że propaganda przy pomocy powieści jest propagandą, nie pozbawioną skuteczności: niejeden człowiek, który nigdy nie przeczytałby książki, czy rozprawy religijnej, filozoficznej, czy politycznej, przełknie propagandę religijną, filozoficzną i polityczną w powieści i tym sposobem zapozna się z wielu argumentami, z którymi by inaczej się w ogóle nie zetknął. Nie należy jednak roli propagandy przy pomocy powieści przesadzać. Czytelnik nie zawsze jest przekonany argumentami i nie zawsze argumenty pamięta. Propaganda ta przelatuje przez mózgi wielu czytelników jak przez sito. Czytelnik pamięta fabułę, pamięta postacie, pamięta wątek życia, pamięta obrazy — ale właśnie najmniej pamięta rozumowanie. Nieraz zresztą rezonowanie w ogóle przy czytaniu opuszcza.

Drugą formą wpływu powieści jest pokazanie życia. Czytelnik dowiaduje się, jak wygląda życie. Powieść rozszerza zasób doświadczenia czytelnika, wzbogaca jego wiedzę, znajomość życia o znajomość życia innych ludzi, życia nieraz intymnego, ukrytego przed ludzkimi oczyma, życia rodzinnego, życia wewnętrznego: w duszy ludzkiej, w sercu i myśli. Co więcej, jest to zwykle zapoznanie się z życiem środowisk nieznanych. Niedorostek poznaje życie ludzi dojrzałych, wieśniak życie w mieście, człowiek ubogi życie burżujów, burżuj życie ludzi ubogich. O wiele więcej myśli rodzi się w głowie wskutek poznania poprzez powieść życia nieznanych sobie ludzi, niż wskutek zapoznania się z rozumowaniami.

Trzecią formą — jest wpływ przeczytanych obrazów na podświadomość. Jest to wpływ niewymierny, nieuchwytny, zwykle przez autora nie zamierzony i nie przewidziany, ale bardzo mocny. Zbyt realistyczne sceny erotyczne mogą wbrew nawet zupełnie odwrotnym intencjom propagandowym autora obudzić pożądania zmysłowe, stające się nutą dominującą we wrażeniu, jakie książka wywarła. Opis szczęścia rodzinnego, czy uczciwej, czystej miłości może wzbudzić tęsknotę za takim właśnie szczęściem, czy miłością. Obraz bogactwa może wzbudzić pragnienie tego bogactwa — lub wstręt do niego. A tak samo obraz ubóstwa.

Toteż rzeczą wielkiej wagi jest nie tylko to, jakie autor ma poglądy, ale także jakie życie opisuje.

Przypatrzmy się, dla przykładu, twórczości Grahama Greene'a. Przecież nie ma w niej w ogóle ani śladu obrazu życia katolickiego! Życia katolickiego społeczeństwa, katolickiej rodziny, katolickiego środowiska. Czy można uważać za typową katolicką rodzinę rodzinę Scobiego w „Sednie sprawy" (The Heart of the Matter)? Tę rodzinę z jednym tylko i w dodatku już nieżyjącym dzieckiem, tę żonę wciąż chcącą być z dala od męża i całymi miesiącami, całymi latami mieszkającą o tysiące mil od niego, rzekomo gorliwą katoliczkę, a w istocie pyszną i obłudną purytankę o zupełnie protestanckiej mentalności, małostkową materialistkę i snobkę, twardą, oschłą i pozbawioną miłości? Tego męża-samobójcę? — Przecież nawet w „The Power and Glory", najbardziej autentycznie katolickiej ze wszystkich powieści Greene'a i najbardziej godnej polecenia katolickim czytelnikom, nie widzimy obrazu katolickiego społeczeństwa, ale tylko jego ponurą karykaturę.

A cóż dopiero mówić o powieści „Koniec romansu" (The End of the Affair)! Jeśli idzie o rozsnuwane w niej wątki rozumowań teologicznych jest ona bez zarzutu, ale jakiż ponury i odrażający podaje obraz życia Jakiż okropny jest przedstawiony przez nią obraz życia angielskiej rodziny, angielskiego społeczeństwa!

Jeśli odrzucić teologiczne rozumowania, powieść tę należałoby określić mianem pornografii. Mało tego, że daje ona obraz środowiska, w którym panuje zupełna seksualna swoboda, że pokazuje, jak łatwo w sferze wyższej inteligencji jest położyć cudzej żonie rękę na kolanie i w godzinę potem zawieść ją taksówką do hotelu, albo jak się zdradza męża, przebywającego w drugim pokoju. Daje ona ponadto opisy scen zmysłowych tak śmiałe, tak nie osłonięte niczym i tak pełne bezwstydnych detali, że to aż budzi reakcję wstrętu.

Myślę, że na dziesięciu czytelników takiej książki dziewięciu zauważy i zapamięta tylko jej stronę plugawą, a puści mimo uszu jej strukturę propagandowo-teologiczną.

A przy tym — jakaż ta struktura propagandowa jest nieortodoksyjna! Ileż w poglądach Greene'a jest ponurości, graniczącej z rozpaczą, ponurości raczej jansenistycznej, niż katolickiej! Ile jest problematów, budzących wątpliwości: choćby takich jak samobójstwo Scobiego. Ile jest irytacji, gdy mowa o katolicyzmie tradycyjnym, gdy mowa na przykład o owych katolickich rodzinach meksykańskich, opisanych, jak wychowują swoje dzieci w duchu religijnym i jakie to wychowanie jest bezduszne, nudne i płytkie. A wreszcie, ile w tym wszystkim jest brzydoty, a jak mało piękna, jak mało radości życia, jak mało zachwytu dla przez Boga stworzonego świata i jak mało zwykłej, prostej, uczciwej miłości!

Myślę, że powieści Greene'a, gdyby je dać do czytania katolickim prostaczkom, zachwiałyby w nich wiarę i demoralizowałyby ich.. Wszystkie — może, do pewnego stopnia, z wyjątkiem „The Power and the Glory". A nie lekceważmy prostaczków! Bo na nich Kościół stoi.

Dzisiaj, gdy świat chwieje się w posadach nie tylko politycznych, lecz także i moralnych, trzeba dawać szerokiemu ogółowi jak najwięcej zdrowej strawy; strawy, nie budzącej obaw.

Jeśli strawy tej jest za mało w twórczości dzisiejszej — trzeba jej szukać w literaturze dawniejszej. Gdy poszukamy — nieraz znajdziemy w niej prawdziwe skarby.

Chciałbym przytoczyć tylko jeden przykład. W tych dniach skończyłem czytać — w angielskim przekładzie — powieść z pierwszej połowy XIX stulecia, największe dzieło literatury powieściowej włoskiej: Manzoniego „Narzeczonych" („I promessi sposi", „The Betrothed").

Nie znałem tej książki dawniej i nigdy o niej w Polsce nie słyszałem. Czy nie była na polski tłumaczona? Myślę, że chyba była, bo trudno przypuścić, by arcydzieło tej miary nie było w Polsce wydane, ale widać nie była przetłumaczona dobrze, skoro nie zdobyła sobie popularności i nie była znana szerzej. (A może zająłby się dzisiaj ktoś, znający język włoski i mogący sobie dopomóc wydaniem angielskim, przetłumaczeniem jej na język polski — w sposób prawidłowy, staranny i piękny? Emigracja zdobyłaby sobie prawdziwą zasługę wobec kultury polskiej, przyswajając to dzieło piśmiennictwu polskiemu w sposób, na jaki zasługuje).

Nie jest to propagandowa powieść katolicka. Jest to arcydzieło epickie, przedstawiające obraz życia północnowłoskiego w XVII stuleciu. Obraz ten jest obrazem prawdziwym, a więc obok świateł pokazuje i cienie. Pełno w nim obrazów grzechu i zbrodni, obrazów krzywdy ludzkiej, niesprawiedliwości, ucisku, podłości, tchórzostwa. Nie brak w nim także i smutnych plam w obrazie kościoła: przewija się w powieści niegodny, podły i tchórzliwy proboszcz, przewija się kapucyn, który w młodości był zabójcą, przewija zakonnica, którą ojciec zmusił do wstąpienia do klasztoru i która ma kochanka i popełnia morderstwo, przewija się intryga, gdy ludzie wpływowi doprowadzają przez stosunki w kościele do przeniesienia do innego miasta zakonnika, stojącego na zawadzie czyimś łajdactwom. Jakież to wszystko dalekie od cukierkowej nieprawdziwości płytkich powieści umoralniających! Ale te cienie — obecne w palecie Manzoniego, bo obecne w życiu — nie zmniejszają żywiołowego piękna przedstawionego życia Włoch, które ukazuje nam się w porywającej czystości, w katolickiej głębi, w zadziwiającej pogodzie, radości i afirmacji życia.

Zaiste, widzimy w świetle tej powieści jak wygląda życie prawdziwie katolickiego społeczeństwa! Nawet w erze anarchii, gdy zbrodnia i bezprawie wydobywa się na wierzch i panoszy się bezkarnie. Szeroki ogół jest zdrowy, moralny, uczciwy, pobożny i potrafi swe zdrowie i uczciwość zachować nawet pomimo złych przykładów, które widzi. Cnota jest tu cnotą, a zbrodnia i grzech jest zbrodnią i grzechem.

I ile tu dyskresji, powściągliwości, artystycznego umiaru w opisaniu tego, co złe i brudne. Wiemy o co chodzi — ale nie potrzebujemy znać szczegółów. I ile precyzji, psychologicznej przenikliwości i prawdy w opisie ludzkiego postępowania, w opisie choćby owych nacisków ojcowskich, które skłoniły dziewczynę bez powołania do wstąpienia do klasztoru, albo owych zabiegów interwencyjnych, które spowodowały usunięcie niewygodnego zakonnika z okolicy! Widzimy jak się takie rzeczy dzieją: i jak bardzo miesza się w nich ze złą wolą nieświadomość, nieporozumienie i nawet dobre intencje.

Jak ortodoksyjne tu zawsze stanowisko katolickie! I jakie bogactwo epickie, ile szczegółów obyczajowych, jakie bogactwo typów ludzkich, jaki talent narracyjny, jaka żywa fabuła, ile humoru, jaka plastyka opisów, ile piękna zarówno w całości, jak w szczegółach!

Graham Greene z całą swoją twórczością tak się ma do Manzoniego, jak się Tuwim ma do Mickiewicza i Dantego.

POLONUS

ZGON KS. PROF. ELTERA

W dniu 27 sierpnia zmarł w Rzymie po chorobie płuc i serca ks. Edmund Elter, T. J., ostatnio sekretarz Millenium, znany pisarz, profesor na Uniwersytecie Gregorianum, autor wielu artykułów i prac.

Uroczystości pogrzebowe odprawił ks. arcybiskup Gawlina w kaplicy Uniwersytetu Gregorianum. Obecni byli przełożeni instytutów jezuickich, ks rektor Semkowski, o. gen. zakonu Mix, ks. prałat Meysztowicz i liczne reprezentacje polskich sióstr zakonnych.

O. E. Elter urodził się 14 listopada 1887 r. w Zegrzynku pod Płockiem. Szkołę średnią ukończył w Warszawie, a w 18 roku życia wstąpił do zakonu jezuitów, przyjęty przez ówczesnego prowincjała o. Włodzimierza Ledóchowskiego. Nowicjat ukończył w Starej Wsi, a filozofię w Nowym Sączu, teologię w Krakowie i w Dziedzicach, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1916. W latach 1919-20 studiował prawo międzynarodowe w Warszawie, od r. 1921 filozofię w Rzymie na Gregorianum i zagadnienia społeczne w Paryżu. Następnie był wykładowcą etyki i socjologii w Nowym Sączu, profesorem w Seminarium Duchownym w Poznaniu (w latach 1925-26), profesorem etyki w Gregorianum w Rzymie aż do roku 1932. Tu pisze swe główne dzieło pt. „Compendium philosophiae moralis", które doczekało się trzech wydań.

Wyczerpany fizycznie wraca do Polski, jest spowiednikiem przy kościele jezuickim w Warszawie, rekolekcjonistą i ojcem duchownym nowego Domu na Rakowieckiej (od r. 1936). Tu też organizuje ogólnopolski zjazd rekolekcjonistów i zaczyna redagować „Myśl Rekolekcyjną". Podczas wojny współpracuje w różnych poczynaniach Polski Podziemnej, jako łącznik. Od roku 1941 jest wiceprowincjałem, a od roku 1949 prowincjałem zakonnej prowincji wielkopolskiej. W r. 1950 zostaje wezwany do Rzymu. Tu zostaje ojcem duchownym Kolegium Polskiego. Ale stan zdrowia zmusza go do zaprzestania tej pracy. Odtąd mieszka przy Uniwersytecie Gregorianum i poświęca się pracy pisarskiej. Ostatnio również gorliwie współpracował w Millenium i był jego sekretarzem. Zmarł po dwudniowej zaledwie chorobie. (IC)

KS. MGR. K. KRZYŻANOWSKI

ASYSTENTEM KOŚCIELNYM

I.P.A.K. i P.K.S.U. „VERITAS"

Protektor Duchowy Polaków na obczyźnie, J. E. Ks. Arcybiskup J. F. Gawlina zamianował ks. mgr. Kazimierza Krzyżanowskiego, kapelana akademickiego w Londynie — Asystentem Kościelnym Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej oraz Polskiego Katolickiego Stowarzyszenie Uniwersyteckiego „Veritas" w Londynie.

IPAK, obok swojej działalności na terenie Wielkiej Brytanii, reprezentuje również sprawy polskie na terenie międzynarodowych organizacji katolickich i z polecenia Ks. Arcybiskupa prowadzi ogólną akcję informacyjną o położeniu Kościoła w Kraju.

PKSU „Veritas" jest polską gałęzią międzynarodowego ruchu katolików z wyższym wykształceniem pod nazwą „Pax Romana"; koła „Veritasu", zarówno studenckie jak i seniorackie, istnieją w wielu ośrodkach polskich w wolnym świecie, w Europie i w Ameryce

Księdzu Aystentowi K. Krzyżanowskiemu z okazji tak zaszczytnej nominacji na trudne i odpowiedzialne stanowisko Asystenta Kościelnego obu central polskiej pracy katolickiej na emigracji — składamy z głębi serca płynące życzenia Bożej pomocy i wielu łask w jego pracy.

PO ŁEPKACH

O D W I L Ż

„Ottiepiel" Eliasza Ehrenburga jest dziś nagłośniejszą książką w świecie, a tytuł jej — po polsku „Odwilż" — dał nazwę całemu okresowi stosunków międzynarodowych i wewnętrznych w obrębie bloku sowieckiego. Rzecz to zupełnie paradoksalna, a jeszcze raz dająca świadectwo ogromnemu wpływowi literatury na życie, gdyż „Odwilż" wcale nie jest powieścią polityczną, przeciwnie, autor stawia w niej i rozwija tezę doniosłości życia uczuciowego i osobistego, przy jego równouprawnieniu ze społecznym. „Odwilż", to powieść o miłości, o prawie do miłości w świecie „zbudowanego socjalizmu", powieść z tezą o konieczności „reprywatyzacji" życia. Z tym samym hasłem wystąpił Simonow na II zjeździe pisarzy radzieckich w grudniu ub. roku pisząc w swym referacie: „Prymatu interesów społecznych nad osobistymi nie wolno rozumieć jako wypierania czy zastępowania momentu osobistego przez społeczny".

„Odwilż" napisał doskonały technik literacki, lecz jest to utwór propagandowy w takim samym stopniu, co powieść produkcyjna czy socrealistyczna. Partia rzuciła w tej chwili hasło: „frontem do ludzkiego serca", tak jak kiedy indziej głosiła potrzebę literatury o ciężkim przemyśle, o produkcji buraków cukrowych czy kukurydzy, a innym razem o czujności wobec odchylenia burżuazyjnego albo nacjonalistycznego. Wedle wiadomości zza „żelaznej kurtyny", życie rodzinne znajduje się tam w okresie ostrego kryzysu. Machina państwa socjalistycznego zaczyna się psuć na odcinku prywatnym, co wszak tkwi w samym założeniu idei kolektywnego społeczeństwa. Komunizm do tej pory siał lekceważenie uczuć osobistych, miłości małżeńskiej i rodzinnej. Teraz zbiera żniwo. „Odwilż" jest sygnałem odwrotu. To przedświt przechylania się szali zwycięstwa w walce jednostki z kolektywem na stronę jednostki. Powieść Ehrenburga ma mniejsze znaczenie polityczne w porównaniu z jej wymową moralną, zwłaszcza że nie autor wykorzystał chwilę odprężenia politycznego, lecz, przeciwnie, przywódcy partii piórem Ehrenburga ogłaszają nowe zasady stosunku ustroju do życia osobistego.

Pisarz sowiecki doskonale rozumie, że uczucia osobiste, to coś więcej niż stół i łoże, więcej nawet niż potomstwo; to po prostu pielęgnowanie i rozwijanie cnót, które małżonkowie ślubują sobie wzajemnie w Kościele: „miłość, wiara i uczciwość". Doktryna komunistyczna stawiała dotąd mit wspólnoty społecznej ponad cnoty osobiste. Dla partii należało bez wahania poświęcać i miłość i wiarę i uczciwość. Małżeństwo, rodzina, to miały być najniższe komórki kolektywu. Próbowano nawet przez pewien czas rodzinę jako przeżytek historii unicestwić. W komunistycznym ustroju nie było mowy o nadrzędności czy choćby tylko równorzędności życia osobistego i społecznego. A oto teraz czytamy w „Odwilży":

„Jeśli człowiek ma w sobie szlachetność, nie zboczy na manowce, wyjdzie na właściwą drogę. Ale co zrobić z pozostałymi? Dawać oświatę, to mało, trzeba kształcić uczucia."

„Ale jak kształcić uczucia? To jest niewątpliwie trudne. Nie sztuka wyhodować winogrona na Krymie... Trzeba wziąć dziczkę... i zaszczepić jej sumienie: winorośl w kraju podbiegunowym... To trudne, ale możliwe, gdy jest zapał, uczucie, wola."

„Zajmujemy się jedną połową człowieka, a druga leży odłogiem. W rezultacie — część izby nie obielona... Pamiętam, czytałem jako chłopiec artykuł Gorkiego, w którym pisał, że potrzebny nam jest nasz radziecki humanizm. Słowo gdzieś zaginęło, ale cel pozostał. Wtedy było to przewidywanie, a teraz nadszedł czas, żeby się do tego zabrać."

Powieść mówi dokładniej, jak należy rozumieć szlachetność, sumienie i „radziecki humanizm". Przymioty te niczym się nie różnią od burżuazyjnej uczciwości i burżuazyjnego sumienia. Wszystkie zakochane pary w powieści: konstruktor Sokołowski i lekarka Wiera, inżynier Korotiejew i nauczycielka Lena, inżynier Sawczenko i studentka Sonia, malarz Puchow i aktorka Tanieczka uszlachetniają się wzajemnie, poprzez miłość odkrywają braki swych charakterów, miłość osobista odsłania im horyzonty miłości społecznej, osobista uczciwość wydaje im się w świetle miłości ważniejsza od kariery, lizusostwa i donosicielstwa. Brak serca gubi wzorowego z pozoru obywatela sowieckiego, dyrektora Żurawlewa. Miłość kalekiej żony podtrzymuje na duchu żyjącego w nędzy malarza Saburowa, że nie zdradza sztuki dla interesu i zamiast portretów dygnitarzy woli malować pejzaże.

Słowem, „Odwilż", to apologia sumienia, życia opartego na sumieniu. Wprawdzie w którymś miejscu powieści autor przytacza z uznaniem słowa starego rewolucjonisty: „partia, to sumienie", ale z samej treści książki wynika, że sumienie często, jeśli nie zawsze, musi iść pod prąd dyrektyw i poglądów partii. Wystarczy przytoczyć sentencję jednego z bohaterów: „U nas nie lubią pokrzywdzonych, mają zaufanie tylko do szczęściarzy". Z ust rozgoryczonego malarza, któremu powinęła się noga w chwili szczerości, wyrywają się słowa: „Przecież wszyscy lawirują, kłamią, jedni mądrzej, drudzy głupiej."

Upatrywanie w „Odwilży" Illii Ehrenburga zapowiedzi zasadniczych zmian w sowieckim ustroju jest niewątpliwie przesadą, a już zupełną dowolnością jest wiązanie tego utworu z odwrotem od zasad zmarłego dyktatora. Jednak wysunięcie hasła równouprawnienia życia osobistego z życiem społecznym zawiera w sobie, zapewne wbrew zamierzeniu jego autorów, zarodek tak wielkiego przewrotu, że musi ono wywołać również zasadnicze zmiany w życiu społecznym. Otwarta krytyka różnych stron życia sowieckiego na kartach „Odwilży" wypływa z naturalną konsekwencją z przyjęcia zasady prawa ludzkiego do życia osobistego. Tak np. w powieści ostro zarysowuje się problem braku mieszkań dla rodzin, spychanie tej spraw poza plany uprzemysłowienia, co powoduje rozkład życia rodzinnego i niechęć do zawierania małżeństw. Zahacza też Ehrenburg o straszny w Sowietach problem donosicielstwa. Lekarka Wiera Grigoriewna przez długie lata boi się rozmów z zakochanym w niej starym komuniście Sokołowskim, nie mając pewności, czy cel jego odwiedzin nie jest szpiegowski.

Nie wiadomo, co nastąpi po sowieckiej odwilży: wiosna-li czy mróz jeszcze silniejszy? Uznanie praw ludzkiej jednostki przeczy podstawowym założeniom wizji człowieka kolektywnego. Oddanie ludziom prawa do własnego sumienia musiałoby zachwiać podwalinami doktryny materialistycznej. Wątpić więc można, czy odwilż potrwa długo. Ludzie bowiem sumień nigdy nie potracili; odebrał im je ustrój. Jeśli je zwróci, przestanie być tym, czym jest. Bowiem sumienie nie należy do żadnego ustroju. Sumienie znajduje się tylko w człowieku, w ludzkiej osobie. Nie ma sumienia ni cnoty poza jednostką. I z sumieniem, z ludzką osobą trwale nie wygra walki żaden ustrój.

J. B.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji **ŻYCIA**. **C E N Y O G Ł O S Z E Ń:** 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. **P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H:** **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 64 Tapleys Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA:** Mme **Z. Kułakowska**, 101, rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. Prenumerata kwart. 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska** Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks K. Stolarek, O.M.I.**, 29 Av. Gen. Leclerc La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.). Prenumerata kwart. 540 frs. **HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A**, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 13 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2.Pren. kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.